

NUMER PODWÓJNY

Nr 32-33

4. 11. IX. 1946

ROK II

PRZYJACIEL

TYGODNIK DLA STARSZYCH DZIECI



W SPÓŁDZIELNI PRACY



Przed oknem zegarmistrza Nikodema kasztan stoi. Pan Nikodem coraz to odrywa się od roboty i patrzy na kasztan. Liczy, ile liści zrudziało, ile opadło, ile kasztanków świecących na trawce leży.

— Już jesień — mówi pan Nikodem — a za jesienią zima.

I znów bierze się pan Nikodem do roboty.

Leży przed nim na stole dużo zegarków: złote, srebrne, szare. Pan Nikodem poprawia wskazówki, przekręca sprężynki, obraca trybiki i kółka. Stary gruby zegar na ścianie bije grubym głosem:

tik, tak, tik, tak,
czas ucieka, daje znak.

A mały srebrny nowy zegareczek odpowiada:
temu tak,
tamtemu tak...

Wtem stuk, puk, puka ktoś w szybkę:

— Niech pan Nikodem odłoży trybiki i kółka, przyleciałam się pożegnać, jesienna jaskółka.

— Ach tak, to już lecisz — mówi pan Nikodem i spracowaną ręką gładzi siwą brodę.

— A dokądże lecisz, śliczna jaskółeczko?

Dalszy ciąg na stronie 25



Rozdział I

Leszek Sikora rozejrzał się po pustym, szarym podwórzu i westchnął głęboko.

— Nic, tylko te zimne mury.

Nigdy jeszcze te domy nie wydawały mu się tak okropne jak w tej chwili właśnie.

Od ciemnej czeluści bramy wionęła wilgoć, zmieszana z zapachem jedzenia gotowanego w mieszkaniach. Z pierwszego piętra przez otwarte okno dolatywał gniewny głos pani Magdy Konecznej, praczki lającej zapewne swego syna, Antka.

— Pewnie znowu coś przeszkrobał — pomyślał Leszek i gwizdnął tak głośno, że aż gołębie Franka zerwały się z dachu.

Było południe i promienie czerwcowego słońca migotały w szybach. Tu na dno podwórza nie docierały nawet o tej porze, zatrzymywane

przez wysoką, poznaczoną smugami wilgoci ścianę fabryki.

Pod tą ścianą zbierali się zawsze chłopcy, grając całe popołudnia w guziki lub kłipe. Za ścianą dudniło coś i monotonnie stukało, a kiedy się przyłożyło ucho, czuło się, że ściana drży.

— Ona jest żywa — twierdził wiecznie umorusany Frydek, najmłodszy syn dozorczy, ale większe chłopaki pokpiwali sobie z niego.

— Żyje, a jakże! Uwważaj, bo cię jeszcze zje! — śmiali się.

— Tam jest fabryka, to maszyny tak huczą — wytłumaczył w końcu małemu Jędrkowi z oficyny — to jest fabryka papieru.

— Byłem w niej już kilka razy — chwalił się przed wszystkimi. Ale nikt go już nie słuchał. Opowiadał im o tym przecież przy każdej sposobności.

Jaskółka szczebioce:

— Lecę na południe, gdzie kwiaty i motyle,
i słońce łśni cudnie.

— Prawda, na południe lecisz przez morze.
W świat daleki, słoneczny, a no szczęście ci Boże —
mówi zegarmistrz Nikodem i znowu bierze się
do roboty. Prostuje wskazówki, przekręca kółka,
dopasowuje śrubki. Stary zegar na ścianie odzywa
się grubym głosem:

Tik, tak
tak, tak,
ty nie polecisz,
tyś nie ptak.

A mały srebrny zegareczek odpowiada ci-
chutko:

Temu tak,
tamtemu tak,
Temu tak,
tamtemu tak.

Za oknem z kasztana znowu opada duży
zrudziały liść. Niebo szarzeje i zaczyna plakać
deszczem. Łezkami, kropelkami na szybcie pana
Nikodema. Na podwóreczku uśmiechnięta ła-



godnie, wchodzi jesień. A pan Nikodem gładzi
siałą brodę i myśli:

— Jednemu tak,
drugiemu tak...

Lucyna Krzemieniecka

Ojciec Jędrka pracuje w tej fabryce i chłopak
odwiedza go czasem.

— Żeś był, to wiemy. Lepiej powiedz, jak
tam jest — zagadnął Antek.

— No wiecie, tam robią papier — tłumaczył
niezręcznie. — Z gałganów i z drzewa.

— Co? Z gałganów, taki śliczny, biały pa-
pier? — Chłopcy śmieli się głośno.

— Albo z drzewa? Ha, ha, ha!

Tego Jędrkowi było za wiele. Obrażony od-
szedł do domu.

Na drugi dzień były właśnie Jędrka urodziny
i chłopiec otrzymał od matki śliczną książkę
„Ukryty skarb”. Oczywiście przeczytał ją jednym
tchem i opowiedział całą Zośce spod czwartego,
ta znowu reszcie dziewczynki i niedługo już dzieci
z całej kamienicy wiedziały o Jędrkowej książce.

I wszyscy od razu chcieli ją od niego pożyczyć.
Jak to jednak zrobić. Pogniewali się z nim
przecież. Dopiero pierwszy Franek gołębiarz
podszedł do Jędrka.

— Słuchaj Jędrzek, może chcesz mojego „wa-
szwanca” z tych co to się niedawno wylęgły —
wyrecytował jednym tchem.

Jędrzek grzecznie mu podziękował, bo gołębi
nie miał gdzie trzymać. W każdym razie skoń-

czyło się na tym, że Franek książkę otrzymał,
a później kolejno czytali ją Antek, Zenek
i w końcu Leszek. Szedł z nią właśnie teraz
i żałował, że była taka krótka.

W końcu jednak machnął ręką. Żeby to tak
samemu brać udział w poszukiwaniach, odnaleźć
skarb — to rozumiem. Jeszcze raz rozejrzył się
po szarym podwórku, na którym na pewno nie
było zakopanego skarbu, i ruszył na pierwsze
piętro.

Otworzył mu Jędrzek.

— Odnosisz mi książkę? Dobra.

Zaprowadził Leszka do pokoju i obaj usiedli
na otomanie. Rodzice Jędrka nie byli zamożni,
ojciec pracował w fabryce papieru, matka zaś
była krawcową. Ale mieszkanie mieli ładne i czy-
ściutkie. Jędrzek, jedyny ich syn, miał nawet
swoją pokój, w którym stała jego własna, mała
biblioteka, przedmiot zazdrości wszystkich dzieci
z kamienicy.

— No, jak podobała ci się? — pytał Jędrzek
stawiając książkę na półce.

— Pewnie! Szkoda, że u nas nie ma zakopanego
skarbu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z. Nowicki

się nie różnił od domów, w jakich w różnych częściach świata mieszkają Europejczycy.

— Bardzo przepraszam panów — powiedział płynną angielszczyzną, patrząc przy tym na Henka — że wcześniej nie wyszedłem na spotkanie panów, ale nie chciałem stracić komunikatu z Europy.

Widząc, że Heniek z trudem rozumie po angielsku, rozmówca przeszedł na język francuski, przy tym z lekką się tłumaczył ze swojej znajomości języków.

— Dziwi panów moja znajomość języków europejskich. Byłem, a właściwie studiowałem w Paryżu.

Gospodarz zaprosił gości dalej. Rozsiadli się w trzcinowych fotelach.

Z zachowania sądząc — ciągnął król murzyński — panowie nie są Anglikami. Przypuszczam, że i z Francji również nie przybywacie.

Heniek ładnie po francusku odpowiedział: — Je suis Polonais — jestem Polakiem.

Na to Murzyn porwał się z miejsca i krzyknął:

— Nie do wiary. Więc mam przed sobą prawdziwych Polaków, bohaterów, którzy poświęcili wszystko dla ratowania honoru swej ojczyzny!

Przeszedł się kilka razy po pokoju, powtarzając:

— Niemożliwe, niemożliwe. Taki zaszczyt, taki wielki dzień dla mnie!

Oprzytomniawszy trochę, pobiegł do przyległego pokoju i przyniósł atlasy. Na mapie Polski narysowane były wszystkie kierunki uderzeń napadu hitlerowskiego.

— Przez cały czas waszej walki — mówił wzruszony — nie spałem po nocach, tylko słuchałem komunikatów i tu, na mapach kreśliłem, jak się sytuacja przedstawia.

Wzruszenie króla murzyńskiego z głębi Afryki udzieliło się obu Polakom (Zygmuntowi i Henrykowi Olszewskim). Białe ręce spłotyły się z czarną w braterskim uścisku i postanowieniu walki o wolność aż do zwycięskiego końca.

Minęły lata wojny. Henryk ma dziś już lat siedemnaście. Od tego czasu widział wiele krajów, przeżył wiele wstrząsających chwil. Ale ze wszystkich przygód to dziwne spotkanie na ładzie afrykańskim najserdeczniej wspomina. I nie zapomni o nim nigdy.

B. Zagala



Skąd tu na ich podwórzu może być skarb? I gdzie? Podwórko było przecież brukowane. W jednym tylko rogu piętrzyła się olbrzymia kupa śmieci. Może tam? E, skąd tam mogło coś być. Co prawda w tamtym roku, kiedy wywożono śmieci, chłopcy znaleźli zardzewiały pistolet, a dziewczęta lalkę bez głowy. Pistolet okazał się tylko zwykłym kapiszonowcem i do tego zesputym.

Nie ma mowy o jakichś skarbach.

Jędrzek jednak nie żartował. Usiadł obok Leszka i cichym głosem wtajemniczył go we wszystko.

— Wczoraj na lekcji historii — mówił z palającymi oczyma — pani nauczycielka opowiadała o starych miejskich domach. Więc ja zaraz pomyślałem, że może i nasza kamienica jest stara, no i...

— O, tak nasz dom jest bardzo stary — przerwał mu Leszek. — Sam niedawno slyszalem, jak mój ojciec, który jest przecież dozorcą i najlepiej chyba wie o wszystkim, mówił gospodarzowi, że taki stary dom jak nasz wymaga gruntownej naprawy.

— E, nie po tym się poznaje — uśmiechnął się Jędrzek. — Widzisz, stare domy mają „szkarpe”.

— A co to takiego? — Leszek nie znalazł tego wyrazu.

— Szkarpa to jest taki kawałek muru, odstający od kamienicy — tłumaczył mu Jędrzek jak umiał, ale Leszek wciąż nie mógł pojąć, co to takiego.

Dopiero kiedy Jędrzek narysował mu to wszystko na papierze, zrozumiał.

— U nas w naszym domu jest taki murek! Jest na pewno — krzyczał uradowany.

— Cicho, bo jeszcze kto nas usłyszy — uspakajał go Jędrzek — to musi być tajemnica.

— Słuchaj! — Leszek miał pewne wątpliwości — a może to nie żadna szkarpa, tylko zwykły kawałek muru z rozebranych komórek? A zresztą gdyby nawet nasz dom był taki stary, to i co z tego?

— Dopowiedz mi dasz mi dokończyć? Wszystko ci opłacę po kolei. To przecież takie łatwe. Widać od razu, że nie chodzisz do piątego oddziału.

Jędrzek zawsze okazywał swoją wyższość i to, że był o jedną klasę wyżej od Leszka.

— Czytałeś tyle książek, to powinieneś wiedzieć, że w starych kamienicach są duchy i skarby.

— Duchy? — Leszek aż usta otworzył w zdumieniu. — Duchy? — spojrzał niedowierzająco na Jędrka.

— Tak, duchy. A nie pamiętasz, jak w zeszłym roku poszła Zośka do piwnicy i jak „coś” zgaśiło jej świecę. Albo gołębie Frankowi podusiło?

— To była lasica. Na pewno, wiem. Zresztą może, kto wie — Leszek skłonny był uwierzyć. — Więc co z tego?

— Więc my będziemy szukać tego skarbu — powiedział Jędrzek. — Założymy Związek Poszukiwaczy Skarbów — podobnie jak to było w tej książce. Tylko pamiętaj: tajemnica! Mamy wielu wrogów! Niejeden będzie chciał odebrać nam skarb. Musimy być ostrożni.

— To się wie. A może weźmiemy jeszcze do naszego Związku Franka? On zna bardzo dobrze tutejsze kąty. Po wszystkich stychach ugania za gołębiami.

— Dobra jest, możesz go wtajemniczyć. Spotkamy się jutro nad rowem koło kładki.

Na drugi dzień trzej chłopcy zebrali się na małej zielonej łączce, wciśniętej między wysoki fabryczny parkan i czerwone budynki farbiarni.

Pośrodku tego placzyku płynął śmierdzący strumień, którym spływały wszystkie brudy z farbiarni.

Jędrzek, Antek, Franek-gołębiarz, w ogóle wszystkie dzieci z Grabowej ulicy przychodziły tu często. Idąc nad strumień zgadywali na ślepo, jakiego koloru będzie dziś woda. Pewnego razu Franek założył się z Antkiem o szczyryk i gołębia, że woda będzie czerwona. I wygrał zakład. Strumień był caluśki czerwony jak krew.

Ale dziś trzej chłopcy nawet nie spojrzeli na wodę. W głowach uparcie kołowała im myśl o skarbach. Franek, którego Leszek zdążył już wtajemniczyć, zapalił się od razu do projektu Jędrka.

— Musimy wszyscy przybrać nowe nazwiska — mówił rozpromieniony. — Ja będę się nazywał „Czarna Ręka” tak, jak to było w jednej powieści.

— A ja „Krwawy Jaguar” — Leszkowi bardzo się to podobało.

Jędrzek wyjął zaraz czystą kartkę papieru i napisał. Najpierw u góry drukowanymi literami:

„Związek Poszukiwaczy Skarbu”.

A potem:

Franciszek Koział — Czarna Ręka

Sikora Leszek — Krwawy Jaguar

Andrzej Koleba — Herkules.

— Kto to jest ten Herkules? — spytał Franek.

— To wielki bohater. Jak będziecie w piątą klasie, to o nim usłyszycie.

Chłopcy skrzywili się. Ach, ten Jędrzek, porządny chłop, tylko wiecznie o tej swojej klasie opowiada.

— Wiesz, Jędrzek — odezwał się w końcu Franek — my tu w tym związku jesteście równi. Nie ma tego, że ten chodzi do starszej klasy, a ten do młodszej. Dobra?

— Zgoda! — Jędrzek zawstydzil się trochę.

Teraz trzeba wybrać wodza.

— Oczywiście będziemy głosować. Tak się zawsze robi.

Jędrzek porozdawał małe karteczki, na których każdy wypisał nazwisko przyszłego wodza.

Został nim Jędrzek-Herkules. Dostał dwa głosy, sam nie mógł przecie na siebie głosować.

— Zaraz, zaraz — zatrzymał jeszcze chłopców, którzy myśleli, że wszystko już skończono i można iść na poszukiwanie skarbu.

— Musimy najpierw rozdzielić pracę. Franek... przepraszam Czarna Ręka zajmie się frontową kamienicą. Ja z Krwawym Jaguarem oficynami — rozkazywał wódz. — Pojutrze zejdziemy się tu drugi raz, dowiedzieć się, co kto zrobił?

— Hurra! — krzyknęli chłopcy z całej piersi.

— Czekajcie, trzeba jeszcze nazwać ten strumień, tu będą się przecież odbywały nasze zebrania.

Wszyscy stuknęli się w czoło. Jakże to, miejsce ich pierwszego zebrania także trzeba upamiętnić.

— Kolorowa rzeka — szepnął cicho Jędrzek, i reszcie się ta nazwa spodobała.

— Kolorowa... naprawdę kolorowa...

Spojrzeli w wodę śmierdzącego strumienia, który nigdy nie był dla nich śmierdzący, a od dziś stał się rzeką.

Zachodzące słońce łamało w nim swoje promienie przelewające się w wodzie jak szczerze płynne złoto, jak ich wymarzony skarb.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z. Nowicki





ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

Rozdział II

Od pewnego czasu mieszkańcy kamienicy zachodzili w głowę, co też się stało z wiecznie wisującymi chłopakami.

— Ani ich widać — mówiła gruba dozorczyńca, matka Leszka do pani Konecznej.

— Mój Leszek jak przyjdzie ze szkoły, to zaraz leci na pierwsze, do tego Jędrka. Powiada, że tamten pomaga mu w lekcjach.

— Może tam i pomaga, ale potem to razem z Frankiem we trzech idą gdzieś, takie się zrobi kolegi.

— Może ta i lepiej — westchnęła pani Koneczna — nie ma takich wrzasków na podwórzu. Żeby się tak i mój Antek chciał poprawić.

Ale nie tylko starsi zainteresowali się chłopcami. Dziewczyny, a szczególnie Zośka, po prostu umierały z ciekawości, co też te chłopaki robią.

— W szkole to na każdziuteńką pauzę w kącie gdzie szepcą — skarżyła się Ewce. — Spytać ich o co, to tylko uśmiechną się do siebie i pójdą.

Bo też rzeczywiście chłopcy byli szczęśliwi i zadowoleni. Nic bowiem nie daje tej radości, co przyjaźń i dążenie do wspólnego celu.

Od czasu pierwszego zebrania żyli się bardzo. Jędręk kiedy dowiedział się, że jego dwaj koledzy nie bardzo stoją z lekcjami, odrabiał z nimi zadania. Wieczorami myszkowali po kamienicy. Co robili jednak przez te długie godziny, tego żadna siła nie potrafiłaby z nich wyciągnąć.

W takich sprawach umieli milczeć jak „mur”.

Przeszukali już całą kamienicę, nie natrafiając jednak wbrew oczekiwaniom na żadne ślady, wskazujące na możliwość istnienia skarbu.

— Nie martwmy się — pocieszał Jędręk — tamci z książki też nie od razu odnaleźli tę skrzynkę z papierami.

Tej niedzieli wypadło zebranie. Jędręk i Franek siedzieli już nad strumykiem, kiedy przybiegł do nich zadyszany Leszek z dziwną, wprost niewiarygodną nowiną.

— Słuchajcie! Słyszałem ducha — mówił. — Naprawdę słyszałem ducha.

Chłopcy aż oniemieli ze zdziwienia.

— Gdzie? Gdzieś go widział? — dopytywali się.

— W piwnicy. Szedłem tu do wa, kiedy zawołał mnie Frydek. „Chodź no — mówi — tu w piwnicy coś jęczy”.

Myślę — głupi smarkacz, znowu coś mu się przewidziało, ale zaglądam przez okienko do piwnicy i słucham.

Rzeczywiście najpierw doszedł mnie cichy pisk. — Szczury — myślę, ale nastłuchuję w dalszym ciągu.

Za chwilę jednak brzęknęły w piwnicy butelki i w promieniu światła padającego z podwórka przebiegł jakiś cień, a później w mroku zamigotało światełko i znowu powtórzył się szelest.

Chłopcom naprawdę nie chciało się wierzyć w opowiadanie Leszka.

— Chodźmy sprawdzić — zaproponował Jędręk i cała trójka wyruszyła na połów owego „ducha”.

— Frydkowi powiedziałem, że to szczury tak piszcza, nie chciałem, żeby komuś rozgadał o tym.

— Doskonale.

Niezauważeni przez nikogo chłopcy przemknęli się przez podwórce i stanęli przed drzwiami piwnicy.

Leszek otworzył skrzypiące trochę drzwi piwnicy i gromadka po wąskich schodach zsunęła się w ciemność.

— Możemy się nie obawiać — szepnął Leszek — ojca nie ma w domu, poszedł do księcia na nieszpory.

W ogóle w całej kamienicy było cichutko. Zinaczni całotygodniową pracą ludzie dosypiali w niedziele albo poszli na spacer korzystając z ładnej pogody.

To wszystkim było chłopcom bardzo na rękę.

Nie lubiono bowiem, kiedy dzieciaki kręcili się po piwnicach.

— Nabrudzicie mi tam jeszcze — krzyczał zawsze dozorca wyganając je stamtąd.

— Szkoda, że nie wzięliśmy zapalek i świeczki — żalowali teraz.

Rozmawiali po cichu. W ogóle tu w ciemnościach jakby opuścili i ich trochę poprzednia odwaga. Na dworze było tak przyjemnie, słonecznie i ciepło, a tu jakoś ponuro i chłodno.

— To jest tu zaraz — zatrzymał ich Leszek.

Z wąskiej gardzieli pełnego drzwiczek korytarza wchodziło się teraz do obszernej komórki, gdzie leżały różne niepotrzebne rupiecie.

Chłopcy zataili na chwilę oddech w piersiach i zaczęli nasłuchiwać.

Przez małe, zakratowane okienko wpadał do piwnicy wąski strumień światła na stertę butelek i jakieś połamane resztki sprzętów.

Nagle coś się poruszyło w ciemnościach. Rozległ się szmer i jakaś czarna sylwetka przesunęła się przed oczyma nasłuchujących.

To „coś” pisnęło tak głośno i wyraźnie, że chłopcy nie zważając jeden na drugiego, runęli do wyjścia, potykając się w ciemnościach.

Zadyszani z bijącymi sercami zatrzymali się dopiero na podwórku.

— A nie mówilem wam — triumfował Leszek. — To na pewno duch.

— E, nie chcę mi się wierzyć, może to lasica, ta co w tamtym roku tyle gołębi mi nadusiła — zastanawiał się Franek.

— Musimy iść jeszcze raz — oświadczył Jędrzek i pobiegł pędem do domu. Po chwili wrócił niosąc elektryczną latarkę.

— Musimy sprawdzić, co to takiego, niech żaden nie waży się uciekać. Nie wolno zapominać, że jesteśmy poszukiwaczami skarbu.

Odważnie weszli w ciemność. Kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie przebywał przedmiot ich pierwszego lęku, Jędrzek wysunął się trochę naprzód i zamykając oczy w obawie ujrzenia obrzydliwej twarzy domniemanego stracha, zapalił latarkę.

— Kot! — krzyknął nagle Franek.

Chłopcy odetchnęli głęboko. Właściwie żal im się zrobiło, że to zwykły kot zakończył tę ich przygodę.

Rozpoczęli teraz szaloną gonitwę, przewracając się o skrzynki i porozrzucane żelaza, za uciekającym zwierzęciem. Przycupili je dopiero w samym rogu za rozbitą beczką.

Z triumfującą miną wyciągnął Leszek za kark małego kociaka.

— Jaki malutki? — dziwił się Jędrzek.

— To dlatego nie domyślił się od razu, że to kot — nie miauczał wcale, tylko tak piszczał. — Musi być bardzo słaby.

Wynieśli swoją „zdobycz” na podwórze ku wielkiemu zdumieniu bawiących się dziewczyn.

* — Jaki chudziutki i brudny — rozkliwiała się nad nim. — Skąd go macie?

Ale chłopcy nie raczyli nawet odpowiedzieć.

— Chodźcie do mnie, damy mu mleka — zawołał Jędrzek i cała trójka ruszyła na pierwsze piętro.

Mały kociak musiał być mocno głodny, bo z wielką żarłocznością pił podane mu na spodeczku mleko. W końcu Jędrzek w obawie, żeby małego nie rozboleł brzuszek, odebrał mu spodeczek.

Niech sobie teraz pośpi. — Ułożył kociaka na otomanie. Teraz zastanowili się, co z nim zrobić?

— Wezmę go do siebie i będę mu dawał jeść — postanowił Jędrzek — mamusia na pewno się na to zgodzi.

Zauważywszy jednak posępne miny reszty, dodał szybko:

— Oczywiście kot jest naszą wspólną własnością, całego Związku. — To jest nasz pierwszy skarb.

— Wiecie, nazwiemy go „Skarbek” — wpadła Frankowi myśl do głowy.

Chłopcom rozjaśniły się miny.

— Nasz wspólny „Skarbek”.

Kociak tymczasem nie wiedząc jeszcze nic o swoim nazwisku ani o swych nowych opiekunach, zwinął się w kłębek i mrużąc głośno zasypiał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z. Nowicki

szych jest nie do pomyślenia bez użycia znacznych ilości żelaza. W dodatku okręty przewożą w czeluściach kadłubów rudy żelazne, maszyny i inne niezliczone wyroby również z żelaza i stali.

A więc kompas magnetyczny nie na wiele by się w takich warunkach przydał. Oczywiście przedsiębiorczy człowiek nie daje nigdy za wygraną. Zastosowano różne urządzenia przy kompasie, żeby tylko zachować jego właściwość wskazywania stron świata. Niestety, wszystko to było drogie, uciążliwe i niewygodne. Dopiero w roku 1904 uniezależnił się człowiek morza od kompasu magnetycznego przez wynalezienie tzw. kompasu giroskopowego lub kołowego. Ten nowy kompas działa na zupełnie innej zasadzie: nieco podobnej do wirowania bąka (do zabawy) lub wahadła.

Igła magnetyczna jest tutaj zastąpiona przez koło obracające się około 20000 razy na minutę.

Koło to jest tak umocowane w specjalnie urządzonego mechanizmie, że puszczone raz w ruch (np. w porcie morskim) zachowuje ciągle ten sam kierunek pierwotny, jaki mu nadano.

Nie ma takiej siły na ziemi, która by potrafiła zmienić tę płaszczyznę obrotów koła. Jeśli więc w Gdyni okręt nada girokompasowi kierunek północno-południowy, to koło tego kompasu będzie stale biegło w tym kierunku. Z takim kompasem śmiało można jechać choćby i na koniec świata. Żeby już mieć pewność stuprocentową, kompasów tego typu zabiera się kilka tak, aby, w wypadku uszkodzenia jednego, inne spełniały wyznaczoną rolę bez zarzutu.

W następnym numerze postaram się podać wam, jak sobie radzili i radzą tubylcy w Australii bez kompasu, oraz jaki kompas wieczny posiada żywa przyroda w świecie roślin tzw. kompasowych.

Lucjan Żak



Rozdział III

Był upalny gorący dzień i nad „Kolorową rzeką” unosiły się stada much bzykając złośliwie przed nosami siedzących chłopców.

Nie byli dziś jakoś w humorach. Milejąc wpatrywali się w płynącą pod ich nogami wodę i przeżuwali przykre myśli.

— Właściwie Skarbek jest już naszą własnością — odezwał się wreszcie Leszek.

Chłopcy ożyli się nagle. Ta myśl przecież absorbowala ich przez cały czas, tylko żaden z nich nie chciał się do tego pierwszy przyznać.

Znaleźli kociaka, ale przecież mógł on mieć właściciela, zatrzymać go więc u siebie byłoby nieuczciwością.

— Tak, Skarbek jest już nasz — mówił Jędredek. — Widzicie, dotychczas miałem wątpliwości, czy kot do nas należy i czy mamy prawo zatrzymać go u siebie. Znaleźliśmy go, ale to nie żaden dowód, że już jest nasz. Bo to by wyglądało, jakbyśmy znaleźli pieniądze i schowali do kieszeni. Najpierw trzeba poszukać

właściciela. Otóż powiem wam szczerze... — Jędredek zawahał się chwilę.

— No i co? Mów! — chłopcy zaparli oddech w piersiach.

Teraz ważyły się przecież losy ich „Skarbka”.

— Wywiesiłem na branie naszego domu kartkę, że znaleźliśmy kotka, tak i tak wygląda — jednym tchem, jakby pozbywając się wielkiego ciężaru wyrzucił z siebie Jędredek. — Nikt się po niego nie zgłosił, choć kartka wisi już tydzień. Kociak jest więc nasz.

Wszyscy odetchnęli głęboko.

— Ale dlaczego nam o tym nie powiedziales wcześniej?

— Obawiałem się, że nie będziecie chcieli się zgodzić. Zrobiłem więc to sam.

— A ja cały czas tym samym tak się trapiłem — śmiał się głośno Franek. — Z tą kartką to był doskonały pomysł. Ale że też nikt z nas tej kartki nie zauważył...

Przykry nastrój prysnął gdzieś bezpowrotnie. Wydając radosne okrzyki przeskakiwali przez

strumien. Wreszcie zmęczywszy się tą bieganiną usiedli z powrotem na trawie.

— W każdym razie wart jesteś Jędrzek, żeby ci natrzeć uszu. Tak nie mieć do nas zauwania...

— Więcej się to nie powtórzy — solennie przyrzekał zawstydzony chłopak.

Wzięli się pod ręce i tak trzymając się ruszyli w stronę domu.

Przez cały czas Franek kręcił się niespokojnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał odwagi. W końcu jednak przemógł się i zapytał Leszka:

— Spytał się ojca, czy te rupiecie, które leżą w tej piwnicy, gdzie znaleźliśmy „Skarbka”, są mu potrzebne. Bo jak nie, to ja widziałem tam takie deszczulki. Byłby fajny gołębnik.

— Dobrze, spytam — chętnie zgodził się Leszek.

I przed wieczorem przybiegł do nich z wiadomością:

— Ojciec powiada, że możemy wziąć sobie stamtąd, co chcemy, tylko postawił jeden warunek: musimy wyprzątnąć tamtą piwnicę. Wszystkie niepotrzebne rzeczy mamy wyrzucić na śmietnik, a to, co nam się przyda, możemy zabrać dla siebie.

— Zaraz się bierzemy do roboty — uradowali się chłopcy i pobiegli do domów po potrzebne do tej pracy narzędzia.

— Szklą na jedną kupkę układać, szmaty na drugą, a deski i różne rupiecie na trzecią — rozkazywał Franek.

Po dwóch godzinach, umorusani i zakurzeni, skończyli pracę.

— Teraz wszystko na śmietnik — oświadczył Jędrzek.

— Co? Na śmietnik? — oburzył się Franek.

— Deski weźmiemy sobie na gołębnik, ale na przykład to szkło — bronił się Jędrzek.

— Szkło, szkło — przedrzeźniał go Franek. — Szkło sprzedamy w hucie szklanej, jeszcze dobrze nam za nie zapłaca.

— Racja! — chłopcy stanęli ośmieleni pomysłem Franka. — Szkło można sprzedać...

Z kolei krzyknął radośnie Jędrzek:

— A szmaty to do tej fabryki sprzedamy, gdzie mój ojciec pracuje.

— Hurra!!!

Zaladowali wszystko w worki i wynieśli z piwnicy.

Potem wrócili, zamietli glinianą podłogę, wyrzucili śmieci i całą piwnicę wysypali żółtym piaskiem przyniesionym z nad strumienia.

— W porządku, ojciec będzie bardzo zadowolony — z całym przekonaniem powiedział Leszek.

Na drugi dzień Jędrzek ledwo tylko wrócił ze szkoły i położył książki na stole, chwycił worek ze szmatami i nie zjadłszy nawet obiadu, pobiegł do fabryki papieru.

Zatrzymał się przed wysoką żelazną bramą, tak jak to mu wczoraj wieczorem ojciec objaśniał, wszedł do portierni i powiedział:

— Przyniosłem towar, szmaty.

— Proszę iść tu na lewo, na podwórko, do wagi — odrzekł mu portier wskazując wyjście.

Jędrzek znalazł się teraz na obszernym podwórku otoczonym ze wszystkich stron murywanymi budynkami.

Nad tym wszystkim wznosił się wysoki, gruby, dymiący komin.

Pod jednym z budynków, gdzie widocznie mieściły się składy, stało kilku takich samych jak on chłopców.

Jędrzek skierował się w tamtą stronę i stanął w rzędzie za kolejką.

Wreszcie przyszła kolej i na niego, położył na wadze worek ze szmatami i czekał.

— Dziesięć kilogramów — powiedział stojący przy wadze robotnik.

Dał Jędrkowi kwit i rozkazał mu iść do kasy po pieniądze. Przyniesione przez niego szmaty wysypano na taczkę i zawieszono do składów.

— Dwadzieścia złotych! — powiedziała kasjerka podając chłopcu pieniądze.

— Tak dużo pieniędzy? — zdziwił się Jędrzek. — A to się Franek i Leszek ucieszą, jak im o tym powiem.

Wracał już do domu, kiedy w bramie fabryki spotkał swego ojca.

— Co ty tu robisz? — spytał, a potem widocznie coś sobie przypomniawszy powiedział:

— A to ze szmatami przyszedłeś... z tymi, coś mi wczoraj tyle o nich mówił?

— Tak — uśmiechnął się chłopiec — z tymi samymi. Ale, tatuśku, niech tatuś opowie mi, co jest w tym dużym budynku. — Jędrzek pamiętając, że ma kolegom opowiedzieć o fabryce papieru, dopytywał się pilnie.



— W tej? Tam jest prasa, walce, które prasują papier na cienkie arkusze. Bo to widzisz tak jest: szmaty najpierw się pierze z wszystkiego brudu, potem gotuje w takim wielkim kotle... o w tym tu budynku z kominem. A potem, kiedy już są rozgotowane na papkę, wylewa się na długie płótna.

Na nich ta papka wysycha, w końcu idzie pod prasę i robią się z niej arkusze...

— A z drzewa też się robi papier?...

— Naturalnie, tylko że to już gorszy gatunek. Najlepszy jest ze szmat... no, ale muszę już iść, bo robota czeka na mnie.

Pan Koleha uściskał syna i poszedł w głąb podwórza.

— Chyba teraz będę mógł chłopakom wszystko powtórzyć — myślał Jędrak idąc do domu.

Wieczorem spotkali się wszyscy chłopcy na podwórku. Okazało się, że mają razem 55 złotych, bo za szkło otrzymał Franek 15 złotych.

— Można za to iść w trójkę do kina — obliczył szybko Leszek.

— Ale do kina nie pójdziemy za te pieniądze — stanowczo zdecydował Jędrak. — A jeśli chcecie, żebym wam powiedział prawdę, to ja wątpię, czy je możemy nazwać naszymi.

— Dlaczego to? — zdumieni się chłopcy.

— Przecież mój ojciec powiedział, że możemy zabrać wszystko z piwnicy i w zamian za to wyczyścić ją. — zauważył Leszek.

Jędrak jednak stanowczo się z tym nie zgadzał.

— Tak, pozwolił nam zabrać, co chcemy, ale twój ojciec na pewno nie wiedział, że było tam tyle szmat i szkła i że to można było sprzedać! — Skończył i spojrzal na kolegów.

— Hm. — chłopcy byli wyraźnie niepewni.

— To w takim wypadku powinniśmy iść i powiedzieć wszystko dokładnie — zaproponował Franek.

— Właśnie o to mi chodzi. Chodźmy.

Dozorca przyjął chłopców z lekkim uśmiechem w kącikach ust. Musiał być dzisiaj w dobrym humorze i nie krzyknął na nich, tylko do końca wysłuchał ich opowiadania.

— Hm! — mruknął — i powiadacie, żeście mnie przynieśli te pieniądze... no, no — kiwał głową. — Zanim coś powiem, muszę najpierw obejrzeć, jak sprzątnęliście piwnicę.

Wstał ze swego miejsca i poszedł przez podwórko do piwnicy. Chłopcy bardzo zaciekawieni podążyli za nim.

— Ho, ho — dozorca aż cmoknął na znak podziwu — nawet żółtym piaskiem wysypali. No, no. Solidna robota. Takich jak wy to lubię, pieniądze możecie sobie zabrać! Uczciwie je zarobiliście.

Chłopcy wymachując radośnie rękami wybiegli z piwnicy.

— Te nasze chłopaki to jakoś teraz sporządzili — mówił potem dozorca do swojej żony. — Nie tylko że nie nabrudzą, ale nawet i pomogą człowiekowi. I jak to z tymi pieniędzmi zrobili... przynieśli mi oddać...

Długo jeszcze w zdumieniu kiwał głową, a tymczasem nad „Kolorową rzeką” chłopcy zastanawiali się, co zrobić z pieniędzmi?

— Ja myślę — rzekł w końcu Jędrak — że tych pieniędzy teraz na nic lepiej nie przeznaczają. Kiedyś może przydadzą się na co. One będą funduszem naszego Związku.

— Tak, tak — przytaknął Franek — każdy związek ma przecież własny fundusz, czyli pewną sumę pieniędzy, którą później przeznaczają na różne sprawy związkowe. Więc zgadzacie się? Te pieniądze będą naszym funduszem.

— Zgadząmy się — okrzyknęli jednogłośnie Franek i Leszek.

„Związek Poszukiwaczy Skarbów” miał już własny swój fundusz pieniężny.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

Rozdział IV.

Odjazd!

Zawiadowca w czerwonej czapce machnął chorągiewką i długi rząd wagonów ociężale ruszył z miejsca.

— Pamiętaj, opiekuj się porządnie „Skarbkem”! Nie dawaj mu za dużo jeść! — wołali wychylając się przez okno wagonu Leszek i Franek.

Pociąg niktął powoli w oddali. Jeszcze przez pewien czas widać było drżące na wietrze chusteczki odjeżdżających, potem tylko daleki słup dymu wydobywający się z lokomotywy, a w końcu i to nawet znikło.

Jędrak został sam na opustoszałym peronie. Oczy zasnęła mu lekka mgielka smutku.

Spojrzał jeszcze w stronę, gdzie zniknął pociąg, gdzie lśniące szyny łączyły się w jedną długą linię biegnącą hen, w przestrzeń, i odwróciwszy się gwałtownie poszedł ulicą w stronę domu.

— Odjechali na kolonie... to i cóż... Ja jestem zdrowy, tak przecież orzekł pan doktor, a oni chorowici i słabi, trzeba im świeżego powietrza. Dla wszystkich miejsca na kolonii nie było. Trudno, muszę pozostać w mieście. Jakoś to będzie. Obiecali, że będą często do mnie pisać — pocięszal się po drodze.

Na podwórzu zrobiło się jakoś pusto i Jędrak nie zatrzymując się nigdzie wszedł na górę.

Usiadł ociężale na kanapie i począł gładzić miękkie futerko śpiącego kota.

„Skarbek” pod jego delikatnymi pieśczołkami przeciągał się i mruzczał.

— Jak to jeszcze niedawno temu znaleźliśmy go w tej piwnicy — zamyślił się Jędrak — a od tego czasu wiele się jednak zmieniło. Leszek, Franek odjechali...

Żal z powrotem zaczął wracać do serca chłopca.

Otworzył leżącą na stole książkę i zagłębił się w czytaniu, próbując oddalić od siebie przykre myśli.

Ale czytanie nic nie pomogło, jeszcze bardziej się rozgorzeczył.

Przecież są wakacje, a on jak głupiec siedzi nad książką. Zdał do szóstego na samych prawie piątkach, pera chyba już wypocząć.

— A tamci jadą, teraz może mijają lasy, pola, wioski. Ja tu ślęczę nad książką... — świdrowało mu wciąż w głowie.

W kącikach oczu ukazały mu się dwie lzy. Jędrak westchnął głęboko i podszedł do otwartego kana.

— E, dzieciak jestem — wstydzil się swoich łez. — Ale to takie przykre... samemu... — usprawiedliwiał się przed sobą.

Na podwórzu nie było nic ciekawego, ta sama, wiecznie szara ściana z pleśniejącymi smugami wilgoci, i ten sam w górze kwadracik błękitnego nieba.

— Pustka i szarzyzna — określił to wszystko.

Przez okno wpadał do pokoju szmer maszyn z pracującej obok fabryki papieru.

Już zniechęcony miał odejść od okna, kiedy zauważył idącego przez podwórze ojca.

— Co to? — zdziwił się nagle i radość zacisnęła mu gardło.

Ojciec prowadził obok siebie rower.

Lśniące rama, pedały, koła... Rower, prawdziwy rower!... dla niego. Tego był pewien.

Ojciec przecież od dawna obiecywał, że jak chłopiec dostanie dobrą cenzurę, to kupi mu rower.

— Masz, Jędrus rower. Należy ci się za dobre stopnie. Nie wyjeździemy w tym roku na wakacje, to chociaż ty użyj sobie świeżego powietrza.

— No, dosyć, dosyć — bronił się przed ściskającym go synem.

— Dobry to ten rower nie jest, używany, ale na te wakacje wystarczy.

— Uważaj, tylko się gdzie nie rozbij — ostrzegala chłopca matka.

Ale Jędrak nie słyszał wyprowadzając swój rower na pierwszą przejażdżkę.

— Na lepszy nas nie stać — mówił pan Koleba po odejściu syna — ten też kupilem na raty.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z. Nowicki



(Ciąg dalszy)

Rozdział IV.

Jędrzek mknął po szerokiej asfaltowej szosie na nowym rowerze. Na bagażniku spoczywała paczka z jedzeniem. Od czasu kiedy dostał rower, była to pierwsza, dłuższa przejażdżka. Mknął tedy niepowstrzymanie naprzód, z boku mięły mu pnie drzew, słupy telegraficzne, domy i ploty.

Nie miał określonego celu podróży, chciał być tylko jak najdalej od miasta, od kurzu, jak najdłużej przebywać wśród pól, cieszyć się ich zielenią, wdychać zapach trawy i czuć lekki wiew wiatru i gorące promienie słońca.

Pola stały właśnie w najpiękniejszej swej szacie letniej. Zielone zboża kołysały się od wiatru przypominając do złudzenia toń morską. Nad stawami żółciły się jaskry, z wody dochodziło rochtanie żab.

— Cudnie tu — szeptał upojony tym widokiem chłopiec.

Zmęczony jazdą zatrzymał się na rozstaju dróg pod małą, drewnianą kapliczką.

Z głębi, przez wybitą szybę spoglądała na pola zszarzała od deszczów twarz drewnianej figurki.

Jędrzek położył rower na ziemi, a sam spoczął na trawie oparłszy się o podstawę kapliczki.

Patrzył teraz na błękitne niebo, na białe jak śmietana obłoczki. Obłoczki płynęły wolno, zmieniały kształt, spływały powoli nad siniejącą w dali smugą lasu.

Jędrzek patrzył, patrzył i sam nawet nie wiedział, kiedy oczy zamknęły mu się i ukotywały przez szmerzące zboże zasnął smacznie.

Obudził go dźwięk czyjegoś głosu.

Otworzył oczy i spojrzął przed siebie.

Obok niego wsparty na rowerze stał jakiś pan z aparatem fotograficznym w ręku.

— Dziękuję — uśmiechnął się do siedzącego chłopca — zdjęcie zrobione. — Co prawda w niezbyt kolegaładnej spoczywał pozie, ale to nic nie szkodzi.

Jędrzek przetarł zaspane oczy. Zdawało mu się, że jeszcze śpi. Zaraz — co ten pan do niego mówił?

— Aha, to pewnie jest fotograf, zrobił mi zdjęcie — domyślił się. Ale przecież ja nie mam pieniędzy i nie prosiłem go o to.

Ale stojący pan, jakby wiedząc, co chłopiec myśli, powiedział:

— Właściwie to nie robiłem twego zdjęcia, kawalerze, a tylko tej kapliczki i bardzo przepraszam, że umieściłem cię na fotografii, ale naprawdę żal mi cię było budzić.

Pan z aparatem uśmiechał się tak rozbrajająco, że Jędrzek, który właściwie nie miał się o co gniewać, także się roześmiał.

— Dlaczego pan zdejmował tę kapliczkę? — chłopiec nie mógł powstrzymać swojej ciekawości.

— Ta kapliczka mój chłopce jest zabytkowa — jest bardzo stara — dodał. — Widział — nieznajomy usiadł na trawie koło Jędrka. — Chcę wydać książkę o zabytkach wsi polskiej i potrzebne mi są do tego różne fotografie. Ten świętek — nieznajomy wskazał na drewnianą figurkę — może ma z dwięście albo więcej lat.

— To i ja będę w tej pańskiej książce? — dopytywał się Jędrzek, którego to w tej chwili najwięcej interesowało. (Ciąg dalszy nastąpi).

Z. Nowicki

— Tak, tak, pokażę ci ją kiedy. Oczywiście jak wydrukuję.

Od słowa do słowa, Jędrzek dowiedział się, że nowy jego znajomy jest profesorem archeologii, to znaczy zajmuje się wydobywaniem z ziemi śladów dawnej kultury ludzkiej.

— Ho, ho, w ziemi są wielkie skarby, tylko trzeba umieć je wydobywać i zachować — mówił chłopcu.

Wtenczas Jędrzek opowiedział mu wszystko o sobie, o ich „Związku poszukiwaczy skarbów”, nawet o kocie „Skarbku”.

Później żałował tego, bo myślał, że profesor wyśmieję go, ale stało się wprost przeciwnie. Profesor spojrział chłopcu prosto w oczy, poklepał po plecach i zaprosił go do swojego domu.

— Przyjdź do mnie, kiedy tylko będziesz miał chwilę wolnego czasu, pokażę ci wszystkie swoje zbiory — mówił dając mu swój adres — widzę, że cię takie rzeczy interesują, może kiedyś zostaniesz także profesorem, tak jak ja.

W najlepszej komitywie wracali obaj do miasta. Po drodze umówili się, że któregoś dnia wybiorą się razem rowerami w poszukiwaniu starych wiejskich kapliczek.

— Tu niedaleko widziałem taki ładny kościółek. Musi być stary, bo jest zrobiony z drzewa — przypomniał sobie Jędrzek.

— Co ty mówisz? — zainteresował się profesor. — Czy to daleko?

— Rowerem będzie od miasta z godzinę drogi.

— Jutro zaraz tam pojedziemy — postanowił profesor.

Od tego zaczęła się wielka przyjaźń profesora Henryka Jeżewskiego z szóstoklasistą Jędrkiem Kolebą.

Po powrocie z wycieczki zastał chłopiec oczekujący nań list od przyjaciół.

„Kochany Herkulesie” — pisali Franek i Leszek.

Zajechaliśmy do Witowa (bo tak się nazywa wieś, w której mieszkamy) szczęśliwie. Mieszkamy wszyscy w pięknym dworku, za domem zaraz płynie rzeka Warta. Z drugiej strony rośnie duży, świerkowy las.

Nasza pani, ta, która się nami opiekuje na kolonii, daje nam dużo swobody. Cały czas możemy chodzić, gdzie tylko chcemy, lecz nie myśl, że zapomnieliśmy o naszym związku. Jak tylko przyjechaliśmy, od razu rozejrzeliśmy się po okolicy i z radością możemy Ci już donieść, że poczyniliśmy znaczne postępy w poszukiwaniach skarbu. Żebyś jednak wszystko zrozumiał, musimy opisać Ci wszystko po kolei.

Po drugiej stronie rzeki, za niedużym laskiem, znajduje się mały wiejski cmentarzyk, za nim zaś ciągnie się okolica bagnista, pełna dołów i głębokich jarów. To miejsce zowią tu „uroczyskiem”, ponieważ jest bardzo niedostępne, dzięki i rzadko kto tam chodzi. Myśmy jeszcze na tym „uroczysku” także nie byli, ale niedługo mamy zamiar wybrać się na nie. Walek, chłopiec ze wsi, którego tu poznaliśmy, opowiada, że na środku „uroczyska” wznosi się kopiec z ziemi, zrobiony jeszcze przez Szwedów, i w nim mają się podobno znajdować ukryte skarby. Ile w tym prawdy, nie wiemy, w każdym bądź razie o naszych poszukiwaniach napiszemy Ci w następnym liście.

Z poważaniem pozostają Czarna Ręka i Krwawy Jaguar.

P. S. Pogłaszcz od nas „Skarbka”.



ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

Rozdział IV.

— Chodźmy już. Jędrzek pociągnął Leszka za rękaw.

Odłączyli się od rozbieganej gromady dziewczyn i chłopców kolonii i skręcili w cieniistą, parkową aleję.

— Pójdziemy do naszej altany — zdecydował Jędrzek. Tam nie będzie nam nikt przeszkadzał i w spokoju opowiem ci wszystko.

Doszli do zarośniętej wysoką trzciną odnogi rzeki, w wiadomym im miejscu rozchyliła zarośla i wsiadli do małej łódki.

Łódkę znaleźli w parku, koło piwnicy. Nie należała widocznie do nikogo, była dziurawa i porządnie nadgryziona przez wodę, ale Franek załatwił ją i trochę wyremontował, tak, że nadawała się do samotnych wypraw na drugi brzeg. Tam bowiem w gęstym lasku stała stara spróchniała zrujnowana altanka, w której chłopcy zbierali się na narady.

Dawniej, kiedy obydwaj brzegi rzeki łączył drewniany most, las ten należał jeszcze do dworskiego parku, ale kilka lat temu powódź zarwała most i niepielęgnowany park zmienił się w dziko rosnący las. Pozostały w nim jeszcze ślady dawnej świętości, zarośnięte chwastami ścieżki i alejki, pokruszona gipsowa fontanna i zrujnowana altanka.

Chłopcy wyjechawszy na szeroki nurt rzeki chwilę pozwolili unosić się prądowi, potem jednak wiosłując zawzięcie jednym wiosłem dobili do brzegu. Łódkę ukryli teraz w szuwarach i sobie tylko znanymi ścieżynkami doszli do altany.

Skrzypnęły cicho drzwiczki trzymające się jeszcze na jednym zawiasie. Chłopcy byli już w środku.

— Uf, — sapnął zmęczony Leszek — teraz możesz opowiadać.

— No widzisz — rozpoczął Antek — rano ledwo tylko wstaliśmy pobiegłem

od razu do Walka, żeby się dobrze wywiedzieć, jak właściwie idzie się na to „uroczysko”. Dowiedziałem się wszystkiego dokładnie, możemy dziś tam pójść.

— Acha — Franek przypomniał sobie coś — Walek mówił, żeby jak będziemy szli lepiej uważać na Rudego Michała.

— A kto to taki?

— To jest taki rudy grabarz, mieszka przy cmentarzu.

— Dlaczego mamy na niego uważać?

— Widzisz — ten Rudy Michał to jest podobno trochę zwariowany, on nie lubi, jak się na to „uroczysko” chodzi. Na wsi boją się go, jak ognia uważają go za jakiegoś czarownika co trzyma z nieczystymi siłami.

— Ale dlaczego on nie lubi, jak się chodzi na „uroczysko”? — Leszek był bardzo zaciekawiony. — Może on pilnuje tych zakopanych tam skarbów?

— E, głupstwa gadasz, jeżeli tam są rzeczywiście jakie skarby i on o nich wie to by ich napewno nie pilnował, a wykopałby je i sprzedał.

— Może... — Franek nie bardzo się z tym chciał pogodzić.

— Chodźmy teraz na obiad, a później...

— Na „uroczysko” — dokończył Leszek.

Wymknęli się z altanki, zamykając starannie za sobą drzwiczki i poszli w kierunku dworu.

— Szkoda, że nie wzięliśmy łopaty.

— Teraz będzie nam zbyt ciężka! Najpierw należy zbadać teren — dowodził Leszek.

Szli po zapyłonej kurzem wiejskiej drodze, mijając właśnie cmentarz. Byli bardzo podnieceni. Niedługo mieli przecieć zobaczyć to miejsce, gdzie podobno znajduje się skarb, ich ciągnęło marzenie.

— Uważaj, to jest Rudy Michał! — szepnął Franek wskazując w bok oczami.

Przed małą przylepioną do cmentarnego muru chatką stał jakiś człowiek. Nie

był może taki stary, tylko długie rude włosy, spadające mu aż do ramion i dziwny wyraz twarzy dodawały całej jego postaci jakiejś posepnej powagi.

— To pewnie z powodu tych jego rudych włosów otrzymał takie przezwisko — domyślili się chłopcy.

Miżeli go szybko, pozornie nie zwracając na niego uwagi i za cmentarzem skręcili na wąską ścieżkę wiodącą na „uroczyisko“.

Zdążyli spostrzec, że Rudy Michał stojąc nieruchomo pilnie się im przyglądał, póki nie zniknęli za najbliższym wzgórzem.

— To bardzo niedobrze, że zobaczył nas idących tu — zasępił się Franek.

— Może nie jest znów taki straszny, jak o nim na wsi mówią — pocieszał go Leszek, ale obaj mieli zepsuty humor.

Ścieżka stawała się coraz mniej widoczna pod zielenią wysokich traw, aż wreszcie zniknęła zupełnie i chłopcy posuwali się teraz według wskazówek Walka. Grunt stawał się coraz bardziej podmokły, zarosnięty gęstymi krzakami.

— Nikt tu chyba nie przychodzi — zauważył Leszek.

Niekoszona, wysoka trawa kładła się na ziemi, wysokie grube drzewa rzucały na nią cień. Oprócz szelestu liści nie było tu słyhać żadnego głosu. Chłopcy starali się mówić jak najciszej, jakby bojąc się zakłócić potężny spokój „uroczyiska“. Ominęli głęboki jar napełniony wodą i weszli na niedużą polankę.

— O patrz! — Franek wydał okrzyk zdziwienia.

Na środku pokrytej różnokolorowymi kwiatami polanie wznosił się wysoki kopic ziem. Trudno było odgadnąć, czy usypały go ręce ludzkie czy też stworzyła go sama przyroda. Jeśli nawet zrobili go ludzie to chyba bardzo dawno, ze wszystkich stron porosły go już krzaki i młode drzewka. Po całej polanie leżały porzrzucone olbrzymie glazy, fromużąc jakgdyby wielki kwadrat.

— Może tu była kiedyś przed wiekami świątynia pogańska — mówił Leszek obchodząc pagórek.

— Ale gdzie może być ten skarb? — nie wytrzymał Franek. Przecież to go najwięcej interesowało.

— Jezeli tylko tu jest, to prawdopodobnie w tym wzgórzu. Trzeba by za-

cząć kopać od góry. Dziś w nocy musimy zakraść się do dworskiej piwnicy i wyciągnąć trochę narzędzi — powiedział Leszek.

— Tak, trzeba będzie zabrać łopaty i oskard, bo ziemia może tu być bardzo zbita i twarda.

— Narzędzia wyciągniemy w nocy i przeniesiemy do naszej altanki, a na drugą noc przyjdziemy tu kopać!

— Co? W nocy mam tu przyjść? — Franek miał przerażoną minę. — Przecież można to samo zrobić w dzień.

— W dzień... — przedrzeźniał go Leszek — i Rudy Michał przyjdzie, skarb nam odbierze. Może nas jeszcze zbije i wygoni stąd!

— Hm, może i masz rację, ale w nocy to trochę straszno — Franek nie chciał przyznać się przed Leszkiem, że się po prostu boi.

— Głuptas jesteś, nie ma się czego bać, będziemy przecież we dwóch — uspakajał Leszek. — A teraz chodźmy już, bo spóźnimy się na kolację i dostaniemy od pani bure.

Rzeczywiście słońce już zachodziło, i czerwone jego promienie zagłądały na polankę, ustępując powoli miejsca kryjącemu się już gdzie nie gdzie mrokowi.

D. c. n.

Z. Nowicki

ZAGADKI

nadesłane przez Jurka Gałuszkę.

1.

Gdy idziesz przez błoto
wkładasz mnie z ochotą.
Prowadzę Cię na pokoje
ale skromnie u drzwi stoję.

2.

Miasto większe niż Warszawa
a pół miasta — to potrawa.

twarz Igora — przyjaciela z chorągwi smoleńskiej. Wiał on Jarkowi do ust kilka łyków mocnego wina, które cokolwiek wzmocniło chłopca.

— Nasze zwycięstwo — mówił Igor — wróg jest zniszczony! A ty, przyjacielu, za parę dni będziesz mógł chodzić, gdyż rany nie są głębokie. Wywiozłem cię ranego z pola bitwy potem jak ten upasiony hrabia ciął cię po helmie. Ale utopiłem swój miecz w jego sadle!

Przy pomocy przyjaciela Jarek usiadł i rozejrzał się wkoło. Oczy jego uradował widok gromady powiązanych Krzyżaków, pędzonych przez kilku roześmianych polskich jeźdźców.

Lipcowy dzień chylił się ku zachodowi. Z pobliskiej polany leśnej odezwało się cykanie koników polnych. Od ognisk wojowników zabrzmiała wesoła, słowiańska pieśń.

S. Sahajda



Usiedli razem na mokrej od nocnej rosy trawie i Leszek rozpoczął opowiadanie. Mówił o ich związku, o „skarbkę” wreszcie jak znaleźli „uroczysko” i, że teraz przyszli po narzędzia, a na następną noc idą po skarb.

— Doskonale! — Tereska klasnęła radośnie w dłonie. — Idę z wami, będę trzymała wam latarkę, a wy spokojnie będziecie mogli kopać. Całe życie marzyłam o takiej przygodzie.

— A nie będziesz się bała?

— Skąd. Nigdy niczego się nie bałam. Chłopcom zaimponowała ta dziewczyna, co w przeciwieństwie do swoich kolegów, była taka odważna.

— Dobrze, możesz pójść z nami — zdecydował Leszek. — Tylko pamiętaj nikomu ani pary z ust.

— To się wie — łobuzersko uśmiechnęła się Teresa.

— Czekaj chwilę na nas, pójdziemy teraz po łopaty i oskard.

Przez zrujnowane okienko wsunęli się do dworskiej piwnicy. Inaczej była zbudowana niż piwnice w mieście. Zbudowana z pustaków obsypana była ze wszystkich stron grubą warstwą ziemi. Leszek zapalił przygotowaną przedtem świeczkę i zaczęli myszkować.

Od czasu kiedy dwór został rozparcelowany, to znaczy ziemia należąca do dworu rozdana między biednych rolników,

a zabudowania przeznaczone dla kolonii miejskich dzieci, piwnica nie była już nikomu potrzebna. Pokryte grubą warstwą kurzu wałowały się w niej teraz połamane ośki wozów, szczerbate brony, zardzewiałe pługi i wreszcie ku wielkiej radości chłopców pod stertą żelastwa znaleźli łopaty.

— Wezmę tę sztabkę żelazną, może przydać się dla obrony.

— Z kim się chcesz bić? — Leszek nie był wojowniczo nastawiony.

— To w razie jakiegoś wypadku. Mogą nas w nocy napaść psy.

— Zresztą — powiedziała szeptem Teresa — gdybyśmy znaleźli skarb, to lepiej być uzbrojonym.

— Ty, Teresa, idź już spać, a my sami zaniesiemy narzędzia do altanki — rozkazał Leszek. — Pamiętaj o przyszłej nocy.

Teresa posłusznie wróciła do domu i położyła się spać. W myślach powtórzyła sobie rozmowę z chłopcami. Może naprawdę odkryjemy skarb... o wtenczas na pewno będzie co roku wyjeżdżać na letnisko. Będzie bogata.

O długo, długo w noc nie spała jeszcze marząc o tym co miała przynieść jutrzejsza noc.

Słyszała, skrzyp okna, kiedy wrócili Franek i Leszek i dopiero wtedy spokojnie usnęła.

Rozdział VI.

— Szkoda, że nie ma z nami teraz Jędrka Koleby — żałował Leszek.

— To ten wódz waszego związku? — spytała Teresa. — Mnie też przyjmiecie chyba na waszego członka?

— O, to się jeszcze zobaczy. Nie możemy nic decydować bez porozumienia się z wodzem.

Dziewczynka nadąsała się.

— Trudno, przecierpię jakoś. Ostrożnie, bo stłuczysz lampkę! — ostrzegła Franka, który potknął się właśnie na jakimś wystającym korzeniu. — Z ledwością dostałam ją z kuchni, a ty gotowy jesteś stłuc ją. Dopiero bym miała za swoje.

Wstrząsnęła się na myśl o awanturze, jaką by dostała w razie takiego wypadku. Wzięła ją na domiar złego bez pozwolenia pani wychowawczyni.

— Czy czasem chłopcy nie zauważyli, jakżeśmy wychodzili przez okno — obawiał się Franek — zdawało mi się, że któryś się obudził.

— Nie bój się, żaden z nich nas nie wyda, choćby i spostrzegł naszą nieobecność.

— Cicho! — syknął nagle Leszek. — Tu zaraz jest chałupa Rudego Michała.

Umilkli. Żadnemu z nich nie uśmiechało się spotkanie z nim. Franka na samo wspomnienie jego posępnego twarzy przechodziły dreszcze. Zobaczyć go teraz?

— Brrr — wstrząsnął się. — Uciekł bym chyba — myślał.

— Cicho! — syknął znowu Leszek.

Nachylił się do nich i szepnął zduszonym z wrażenia głosem.

— U Rudego nie pali się światło. Ostrożnie, może być gdzieś w pobliżu.

Chata samotnego grabarza w dzień nawet nie robiła przyjemnego wrażenia, co dopiero w nocy. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i cała trójka pod osłoną ciemności przekradała się koło cmentarza.

Lekki wiaterek zaszeleścił wśród cmentarnych drzew. Jakis stary, widocznie nadłamany, krzyż, zaskrzypiał koszmarnie. Franek oglądał się bojaźliwie na wszystkie strony. Uf, kiedy to się wreszcie skończy? Kiedy przejdą obok tego posępnego miejsca?

Leszek szczególną uwagę zwrócił na chałupę Michała. A nuż stary zauważył ich... zacznij śledzić... a kiedy zobaczy, że

znaleźli skarb... Bał się przed samym sobą w myślach wymówić ten wyraz... zamorduje!..

Mrowie ściebięło mu po plecach i w palcach ścisających kurczowo żelazny dźwazek, poczuł dziwny chłód.

— Nie, nie damy się. — Szczęki zwarły mu się w gniewnym skurezu.

Wtem aż zdrtwiał cały. Czyżby przywidzenie? Zdawało mu się, że wśród stłoczonych za murem cmentarnych krzyżów coś się poruszyło.

Trwało to jeden moment, ale Leszek był pewien, że odróżnił od nich bladą twarz i długie włosy.

Tam stał Michał. Na pewno ich zauważył i dlatego się ukrył.

Może lepiej powiedzieć o tym Frankowi i Teresie? Wrócić do dworu i nie narażać się.

A może to tylko zwykłe przywidzenie, na co więc próżny alarm? Leszek wahał się co właściwie zrobić.

Nie powiedział jednak nic o swoich obawach, ale do końca wyprawy był niespokojny i stale oglądał się na wszystkie strony.

Jego podniecona strachem wyobraźnia malowała przed nim straszne obrazy, wszędzie za każdym szeleszczącym krzakiem widział chłopiec twarz Rudego Michała.

Wzeszedł właśnie księżyc oświetlając bladym światłem okolice. „Uroczysko” wyglądało teraz jeszcze bardziej ponuro i groźnie. Grube, sękatę drzewa przybierały kształty jakichś groźnych potworów, grząskie bajorka wody z przegładającym się w nich księżycem przypominały, ogromne, złowrogie oczy.

Trójka poszukiwaczy zatrzymała się wreszcie na polanie z kopcem.

— Teraz do pracy! — powiedział Leszek i wbił łopatę w ziemię.

D. c. n.

Z. Nowicki

Czy wiecie, że dnia 28 stycznia b. r. został uruchomiony w Chorzowie, w hucie Kościusko wielki piec A. Jest to obecnie największy piec hutniczy w Polsce.

Czy wiecie, że najbardziej długowiecznym stworzeniem jest wieloryb, gdyż żyje około 500 lat.



ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

(Ciąg dalszy).

W milczeniu wzięli się do pracy.

— Najpierw trzeba wyciąć na szczy- cie wszystkie krzaki — zarządził Leszek.

Teresa próbowała zapalić latarkę, ale czy to z powodu wiatru, czy za bardzo drżały jej ręce, zapalka stale gaśła.

— Daj, ja to zrobię! — zniecierpliwil się Leszek.

Wziął pudełko zapalek, latarkę, odkre- cił naftowy knot i zapalił go.

Specjalnie długo trzymał w ręku za- paloną zapalkę, żeby tym dwojgu poka- zać, że nie drży wcale i nie boi się ni- czego.

Spokój Leszka istotnie podziałał na wszystkich kojąco.

— Czego się tam obawiać — pomyślał Franek i żywo zaczął wrywać rękami mniejsze krzaki.

Kiedy już oczyścili, wzięli się chłopcy do rozkopywania wzgórza. Właściwie nie chcieli całej góry rozkopać, na to nie wy- starczyło by im siły i czasu, a tylko wy- kopać korytarz, którym można by się by- ło dostać do środka wzgórza, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa znajduje się skarb.

Chłopcy pracowali w milczeniu. W noc- nej ciszy, słychać było tylko szelest wy- sypywanej ziemi i zgrzyt żelaznej łopa- ty trafiającej na kamień.

Leszek oglądał się często w bok, gdzie poza jasnym kręgiem latarki trzymanej przez Teresę, czernił się mrok nocy. Cze- go tam szukał? Czyżby jeszcze obawiał się Michała? Na te pytania sam sobie nie potrafił odpowiedzieć, w każdym razie nie nie wskazywało na to, że przypuszczenia jego mają się sprawdzić. Rudego Michała nie spostrzegł w ciemnościach.

— O, patrzcie! — łopata Franka o ma- ło się nie złamała, natrafiając na głaz. — Kamień zagradza nam drogę!

— Trzeba go będzie dookoła okopać i wyciągnąć — zdecydował Leszek.

— Zobaczcie, jaki on jest płaski! — za- uważała Teresa.

Rzeczywiście, kamień był zupełnie płas- ki, o kształcie prostokątnym. Zupełnie jakby był wykuty.

— Trzeba go będzie podważyć łopata, bo rękami nie damy rady.

Podsadzili łopata i naprężyli mięśnie chcąc go ruszyć z miejsca.

Trrrach! Drewniana rączka łopaty zła- mała się i chłopcy upadli na ziemię.

— Za cienki drążek — powiedziała Te- resa — musicie wziąć drugi.

— Tak, ale teraz i ty nam pomożesz, sami nie damy rady. Powieś latarkę na gałęzi!

— No! Razem!

Naprężyli mięśnie z całych sił, popy- chając ciężki głaz. Pot zalewał im oczy.

— Jeszcze raz! Razem — komendero- wał Leszek.

Uff! Kamień odsunął się kawałek, uka- zując pod sobą czarną jamę.

Cofnęli się przerażeni.

Teresa pochyliła się z latarnią nad otworem.

Na dnie jamy leżał szkielet ludzki.

Pierwszy ochłonął Leszek.

— A tośmy wpadli! No! Tu jest prze- ciż mogiła!

— Tak, ale w mogile także mogą być skarby. Odsuńmy jeszcze bardziej kamień i zajrzyjmy głębiej — zaproponowała Te- resa.

— Ja tam nie wejść! — na samą myśl, że ma jeszcze raz zajrzeć w pustą oczodo- łą szkieletu robiło się Frankowi niedob- rze.

— Jak chcesz! — zdecydowała Tere- sa. — Chodź, Leszek zrobimy to sami bez tego tchórza. Być tak blisko upragnione- go celu i nie dojść do końca to byłaby

największa głupota. Trzeba koniecznie sprawdzić może tam w mogile jeszcze coś się znajduje. Chodźmy!

Franek ocieźlała złaźli z nimi.

Nazwała go tchórzem. Née, on się przecież nie boi...

Pokaże Teresie, że on, Franek, jest od niej odważniejszy.

— To tylko tak z początku — myślał. — Ten szkielet jest taki okropny.

(D. c. n.).

Z. Nowicki.



Kiedys, gdy byłem młodszy, bawiłem się z zapałem w Indian, w dzikich Indian. Stasznie lubilem mieć wytatuowaną twarz i ręce w różne desenie, chodzić w pióropuszu na głowie. Rzucałem toporkami. Nosiłem łuk i strzały. Każdej chwili musiałem przecież być gotów do natarcia.

Wiem, że i dzisiaj wielu z was lubi tę zabawę. W lice widziałem, jak defilowały wilczęta-harcerze, przebrane za dzikich Indian.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy otworzyłem książkę Grey Owla — „Sejdźło i jej bobry” i zobaczyłem tam fotografię autora. W stroju indiańskim. Dowiedziałem się, że to prawdziwy Indianin i nazywa się Szara Sowa. Ale wszyscy tak się przyzwyczaili uważać Indian za dzikich, że trudno im wyobrazić sobie pisarza-Indianina. Wam pewnie również trudno — prawda? Więc przeczytajcie. co Szara Sowa pisze o życiu Indian:

„Gdy dzieci indiańskie spędzają lato niedaleko osiedli handlarzy futer, korzystają z okazji uczęszczania do szkół, gdzie nieraz uczą się bardzo dobrze, wiele spośród nich zostało już prawnikami, lekarzami, pisarzami lub aktorami. Natomiast te dzieci, które mieszkają przez cały rok w kraju dzikim, otrzymują wykształcenie innego rodzaju. Szkołą ich jest puszcza”.

„Sejdźło i jej bobry” zapoznaje nas z życiem dzieci indiańskich właśnie w puszczy. Pewnego razu dziesięcioletnią dziewczynkę Sejdźło i jej starszego brata spotkało wielkie zmartwienie. Czikan, jeden z ukochanych boberków, które Sejdźło otrzymała od ojca w podarunku, został przez handlarza zabrany do

miasta. Tęskniła do swego boberka Sejdźło, tęsknił jej brat, Szejpian, tęsknił również drugi boberek, Czilawi. Kiedy ojca, który się nazywał Wielkie Pióro, w domu nie było, cała trójka wyruszyła pewnego razu do miasta, żeby odnaleźć ukochanego boberka. W drodze spotkały ich straszne przygody. Oto tylko fragment jednego z nich:

„...Pożar srożył się dostownie o krok tylko. Szejpian zerwał błyskawicznie siostrze chustkę z głowy, zmoczył ją w wodzie i szybko owinał nią głowę Sejdźło, pozostawiając odsonięty jedynie nos i oczy. Potem spryskał jej sukienkę wodą i zawołał:

— Nie czekaj na mnie! Za chwilę cię dogonię! Żywo!

Przyciskając oburącz koszyczek, w którym siedział Czilawi, Sejdźło znikła na groźnej, jarzącej się różowo ścieżce, wyglądającej jak tunel, przekopany przez ścianę z dymu.

Szejpian nie tracił czasu. Uniósł kanu do góry, odwrócił dnem na wierzch i założył je na barki, umieszczając głowę wewnątrz między złożonymi włosami. Szybko ruszył w drogę. Jednakowoż płomień zdołał przysunąć się bliżej. Szejpian ujrzał zbliżającą się z boku wielką huczającą ścianę ognia. Pod jej dotknięciem padały drzewa, trzaskając jak gdyby kto wystrzelił. Chłopiec zacisnął zęby i nie zwalniał kroku, gdy tymczasem za nim i z boku trzeszczała, huczała i ryczała puszcza”.

„Sejdźło i jej bobry” Grey Owla, jedną z najciekawszych książek, jakie poznałem, wydało Wydawnictwo F. Pieczętowski i S-ka, Warszawa — Kraków.

Książkowy Mól.

Dziewczęta i chłopcy skwapliwie przytacknęli. Wojtek chciał nawet zabrać się do wyjścia, ale pani powstrzymała go ruchem ręki i słowami:

— Dziś na dłuższe spacery za zimno. Wybierzemy się jakiegoś cieplejszego dnia. Teraz zaś pokażę wam tablicę z pąkami znanych drzew. Popatrzcie tu oto jest pąk kasztanowy. Zwróćcie uwagę na to, że łuski pąków są czarne i matowe. Kasztanowiec należy do tych drzew, które najwcześniej wypuszczają listeczki. Dla ludzi z miasta nabrzmiały pąki kasztanowca zwiastują nadejście wiosny.

Dzieci wpatrywały się uważnie w tablicę. Każde poznawało jakąś gałązkę. Wojtek wyłowił gruszkę i jabłoń, ospały Jędrek teraz z ożywieniem wskazywał wiśnię, a Kasia oznaczyła śliwę, lipę i jarzębinę. Gienia, której tatuś jest leśnikiem określiła bez namysłu dąb, buk, brzoza, jesion i olichę.

Ozgo dzieci nie wiedziały dopowiedziała pani. Jeśli i Wy, mili czytelnicy, interesujecie się życiem drzew, to załączona tablica pąków znakomicie ułatwi Wam zadanie.

Lucjan Żak.



Z wysiłkiem odsunęli dalej kamień i zarzeli do wnętrza mogiły. Obok szkieletu leżały jakieś przedmioty.

— O, patrzcie, tam leży miecz! — wykrzyknął Leszek wskazując palcem podłużny przedmiot.

— Wiecie, to musi być grób z bardzo dawnych czasów — mówiła Teresa. — Patrzcie, tu leżą jakieś gliniane garnki, tam miecz, o nawet naramienniki. Trzeba będzie to wszystko wyjąć i zabrać do dworu, tam mam taką jedną książkę „O wykopaliskach z dawnych wieków“ w niej właśnie są różne rysunki takich właśnie rzeczy. Porównamy je ze znalezionymi przez nas.

— To myślisz, że ten grób jest taki stary?

— Naturalnie, ma może z tysiąc lat! Spójrz tylko na te gliniane naczynia, czytałeś przecież „Starą baśń“ to powinieś wiedzieć, że to są urny.

— Tak, ale w urnach chowano popiół ze spalonego ciała, a tu jest szkielet.

— Tego już nie wiem — przyznała się Teresa — przeczytamy już jutro w tej mojej książce, a tymczasem niech który z was wejdzie do mogiły i wszystko wyjmie.

— Szkielet także? — Leszek udał naiwnego.

— Nie, to może zostać! — roześmiała się dziewczynka.

Żaden z nich nie kwapił się jednak zejść

w dół w sąsiedztwo leżącego szkieletu. Chłopcy oglądali się wzajemnie na siebie, który z nich spełni tę przykrą dla nich czynność.

— No, co, boicie się? — spojrzała na nich Teresa. — Może chcecie, żebym ja, dziewczyna pokazała wam co to jest odwaga?

To momentalnie poskutkowało. Obaj chłopcy, jak na komendę skoczyli w dół.

Grób nie był głęboki, wyłożony płaskimi kamieniami, polepionymi gliną, przez długie może wieki chował w swym wnętrzu zwłoki jakiegoś wojownika.

— Tu na pewno kiedyś — Teresa rozejrzała się po oblanym księżycowym światłem „uroczysku“ — odbywał się jego pogrzeb. Płaczki głośno zawodziły, kiedy kondukt pogrzebowy zbliżał się do tego miejsca. Żona jego na pewno rozpaczała, sypiąc popiół na swe włosy — wyobrażała sobie.

A może gdzieś tu w pobliżu rozgrywała się bitwa, szczekały miecze, słychać było wojenne okrzyki... i tu na tym polu padł ów rycerz, którego biały szkielet przed nimi teraz leży?

Kto to może wiedzieć?... może szumią o tym te grube drzewa i ten błąd księżyc mógły coś o tamtych czasach powiedzieć.

(D. c. n.).

Z. Nowicki.



ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

Tak samo świecił przed lat tysiącem i widział z górą całe życie tego człowieka, jak widzi ich teraz...

Teresa zadumała się chwilę, ale głos chłopców przywołał ją do rzeczywistości.

— Teresa! Teresa! — wołali z dołu — weź od nas rzeczy!

— Masz, tu jest miecz... to naramiennik, a to naczyńia gliniane.

— A co to jest? — Teresa obejrzała jakiś lekki przedmiot. — To musi być ozdoba wyrobiona z kości — zdecydowała w końcu.

— No, już wwieśliśmy wszystko — Leszek rozejrział się raz ostatni po mogile i wyskoczył na wierzch. — Musimy zakryć teraz z powrotem grób.

— Trzeba będzie złożyć go darnią, żeby nikt nie zwrócił uwagi, że było tu kopane — postanowił Franek.

— A teraz do altany, tam ukryjemy wszystkie znalezione rzeczy — zawołała Teresa, kiedy już skończyli pracę.

Wzięli przedmioty z mogiły i gęsiego poszli w stronę rzeki.

Dopiero teraz mijając uspiomy cmentarz i chatę samotnego grabarza przypomnieli sobie Rudego Michała — lęk ścisnął im serca.

— E — Leszek machnął ręką na wspomnienie dawnych groźnych przypuszczeń. — Musiało mi się przedtem przywidzieć, że go widziałem.

Łódką ukrytą w trzcinie, przepłynęli rzekę i weszli do zrujnowanej altany.

— Schowamy to w tym rogu, pod deskami zdecydował Leszek.

— Na wierzch rzucę jeszcze liści, wtedy nikt na pewno tego nie znajdzie — Franek przyniósł z parku naręcze zeschłych liści i gałęzi.

— Uuuu — ziewnął Leszek — ale będę dziś mocno spał, nie dobudzą się mnie chyba rano.

— Niewiele czasu ci pozostanie na to spanie — zaśmiała się Teresa. — Niedługo świtać zacznie. Całutką noc, spędziliśmy na „uroczysku“.

Rzeczywiście na wschodzie niebo już różowało.

— Fiii! — gwizdnął Franek — teraz się nie dziwie dlaczego tak mi się chce spać. Zaraz po śniadaniu przychodzę do parku i śpię jak zabity.

— Jutro napiszę list do Jędrka — powiedział Leszek, kiedy wracali łódką do dworu. — Muszę mu donieść o wszystkim. Niech opowie temu profesorowi archeologii, o którym tyle nam pisał.

— Doskonały pomysł — Leszek aż klasnął w ręce. — Przecież my zupełnie nie wiemy co z nimi zrobić. Niech nam poradzi.

— Może oddać je do muzeum? — zauważyła Teresa. — Będą stały w oszklonej szafce z napisem: „Przedmioty pochodzące z przedhistorycznego grobu znalezione przez takich to i takich w Witowie“.

Chłopcom rozbliły oczy.

— Powiadasz, że mogliby wziąć je nawet do muzeum? — Leszkowi nie chciało się wprost wierzyć.

— Może daliby nam jakąś nagrodę — powiedział rozmazony tym przypuszczeniem Franek.

— E, ty to tylko byś myślał o pieniądzech, albo o nagrodach — strofował go Leszek.

— Ja chciałem tak dla nas, żebyśmy mieli wszyscy.

Na drugie wakacje pojechalibyśmy razem z Jędrkiem, — bąknął zawstydzony Franek — może byśmy też tak drugi grób znaleźli, albo skarby.

— Szkoda że Jędrak nie może do nas przyjechać — westchnął Leszek. — Jako wódz naszego związku powinien wszystko na miejscu sam zobaczyć.

— To byłoby dobrze, — powiedziała milcząca dotąd Teresa — moglibyście mnie wtenczas przyjąć na członka „Związku poszukiwaczy skarbów“.

— Chłopaki z kolonii dopiero będą zadośćcieli, jak się dowiedzą, że myśmy znaleźli tę mogiłę — snuł dalej marzenia Franek.

Teresa jednak sprzeciwiała się stanowczo rozgłaszaniu tej sprawy.

— Lepiej nie mówić o tym nikomu ani słowa. Lepiej być ostrożnym. Niewiadomo jeszcze co może być — mówiła.

Leszek się z tym chętnie zgodził.

— Tak będzie najlepiej — powiedział — może się później okazać, że te wszystkie przedmioty niewiele są warte i narazimy się tylko na wstyd.

Sam jednak co innego myślał, inny

miał powód, żeby nikomu o mogile nie mówić.

A nuż Rudy Michał pójdzie na „uroczyisko“ i zauważy odkryty grób? Od razu będzie wiedział kto tam był, widział ich przedtem w dzień, jak tam szli. Lepiej niech nie wie, że coś w grobie znalazł!

Nikomu jednak nie zdradził swoich przypuszczeń.

(D. c. n.)

Z. Nomicki.



ROLNICTWO W EGIPCIE

Powódź jest zawsze niezczęściem, a nie rzadko klęską. Istnieje jednak kraj, w którym powódź jest prawdziwym błogosławieństwem. To jest Egipt. Życie Egiptu jest całkowicie uzależnione od rzeki. Gdyby nie doroczne wylewy Nilu kraj byłby równie jałowy, iak te piaski ciągnące się po obu jego stronach. Wody Nilu spływają z gór Abisynii. Unoszą stamtąd wierzchnią warstwę próchnicy i osadzają następnie ten żyzny namul w drugiej dolinie rzeki.

Wskutek ulewnych deszczów padających w Abisynii zwłaszcza w kwietniu i październiku, wzbierają wypływające stamtąd dopływy Nilu.

W czerwcu woda zaczyna się podnosić nieznacznie, ale stale. Wreszcie występuje z brzegów i zalewa doliny. Dopiero jednak pod koniec września osiąga najwyższy poziom. Utrzymuje się tak przez dwa tygodnie, potem stopniowo opada i wraca do łożyska. Spod wody ukazują się pola okryte warstwą urodzajnego namułu. Gdy muł obeschnie rolnik egipski zwany fellachem przystępuje do pracy. W bardzo krótkim czasie cała dolina pokrywa się zielonością. Fellachowie uprawiają warzywa, zboże, owoce i rośliny przemysłowe (zwłaszcza bawełnę). Bawełna została sprowadzona niedawno z innych krajów. Natomiast pszenica, jęczmień, bób, winorośl, cebula i figowie uprawiane już były w zamierzchłych czasach. W najdawniejszych grobach egipskich znaleziono doskonale przecho-

wane ziarnka pszenicy i jęczmienia. Staroegipskie rysunki przedstawiają między innymi drzewa figowe, winorośle i cebulę. Podstawowe wyżywienie fellacha składa się z takich samych produktów jak przed tysiącami lat. Przez długie lata żywił się jęczmieniem. Siał go w listopadzie, a zbierał w marcu lub w kwietniu.

Potem rozpoowszechniła się bardziej pszenica. Dojrzewa trochę później, ale jest znacznie pożywniejsza. Gdy woda Nilu szybko sycha to zabiera ze sobą z powrotem drogocenny namul. Aby go zatrzymać fellach zbudował wzdłuż Nilu szereg wielkich basenów, do których kolejno spływa woda. Wykonano gęstą sieć kanałów biegnących od rzeki.

Kanały służą do stałego nawadniania gruntu. Dokąd dochodzą kanały tam fellach zbiera 3 razy do roku. W zimie, na wiosnę i w lecie. Jak powódź nie osiągnie dostatecznego poziomu, to część kraju nie wyda w tym roku plonu. Przy brzegach Nilu gdzie oszczędnie rozprowadza się wodę skupia się życie ludzi, którzy skrzętnie wykorzystują każdy skrawek ziemi nadający się do uprawy. Egipt jest krajem rolniczym. Za dawnych czasów Nil uważano za rzekę świętą. Choć była ich żywicielką nie wędzieli Egipcjanie, gdzie ma źródła i co powoduje wylewy. Dopiero w XIX wieku Henryk Stanley odkrył źródła Nilu.

napisała Danusia Żurawska
lat 11 uczennica kl. VI.

ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

Rozdział VII.

Jędrzek Koleba patrzył w twarz profesora Jeżewskiego, na której w miarę odczytywania listu odbijało się zaciekawienie, zdumienie i radość.

— Hm — mruzczał coś do siebie. — Mogiła... szkielec... gliniane naczynia, różne przedmioty, których przeznaczenia dobrze nie znamy...

— No i co? — Jędrzek rzucił mu pytające spojrzenie.

— Jedziemy.

Pan Henryk odłożył list.

— Zobaczymy, może rzeczywiście Twoi przyjaciele odnaleźli przedhistoryczny grób. Trzeba to na miejscu sprawdzić. Wszystkie dane, jakie mi tu w liście podałeś wskazują na to, że jest to cenne wykopalisko. Jutro jedziemy! — Zadecydował nagle. — Ty oczywiście ze mną. — Zamieszkamy razem we wsi... Nie obawiaj się na kolej mam pieniądze — roześmiał się, zauważywszy niepewną minę chłopca.

— O nie, dziękuję! — Jędrzek wyprostował się dumnie. — Ja mam pieniądze! Nasz Związek rozporządza własnymi funduszami.

— Bardzo się z tego cieszę, że Związek wasz ma własne pieniądze, ale tym razem z nich nie skorzystasz. Pojedziesz ze mną i na mój koszt. Koniec! Bez żadnego ale! — przerwał próbującemu zaprzeczyc Jędrkowi. — Od dziś ja Tobie rozkazuję. Idź teraz na pocztę i nadaj do Witowa depeszę, że jutro bezwarunkowo przyjeżdżamy. Jak wrócisz, pójdziemy obaj do Twoich rodziców. Powinni przecież wiedzieć, kto ich syna bierze na czas podróży pod opiekę.

— Mogą się nie zgodzić, kiedy zobaczą, że to ja. — Pan Henryk zrobił zmartwioną minę.

Roześmiali się obaj.

— Teraz lecę na pocztę! — Jędrzek chwycił czapkę i wybiegł z mieszkaniem.

— Jutro już zobaczę się z nimi... — radośnie podskakiwał na chodniku. Pan Henryk to „byczy“ chłop!

— Hurra!!! — wykrzyknął tak głośno, że aż przechodnie obejrżeli się za nim i wpadł do urzędu pocztowego.

Długi głos gongu wołającego na kolację zbudził śpiących w parku chłopców.

Od czasu nocnej wyprawy na „uroczyisko“ minęły już cztery dni, a jednak nic się nie zmieniło. Znalezione w mogiłe przedmioty spoczywały w altanie, oczekując ukryte na przyjazd Jędrka i profesora. Franek, Leszek i Teresa nudzili się teraz. W upalne, gorące dni chodzili się razem kąpać nad rzekę, albo na dalekie spacerować w las, a w słotę w świetlicy czytali książki.

Dziś gorąco słonecznego dnia dało się im dobrze we znaki, zmęczeni spacerem położyli się w cieniście parku i nie wiedząc kiedy usnęli.

— Kolacja! — krzyknął Leszek i ziewnął tak potężnie, że zdawało się mógłby połknąć słońca.

— Kolacja! — szarpnął śpiącego jeszcze Franka. — Wstawaj śpiochu!

Leniwie przeciągając członki poszli ścieżką do dworu. Nie zdążyli jednak jeszcze dojść, kiedy spotkali idącą naprzeciw nich Teresę.

— Depesza! Depesza! — dziewczynka machała radośnie białą kartką papieru. — Pani mi ją oddała — mówiła — to dla was.

Leszek rozerwał prędko depeszę i na głos przeczytał: „Ja i profesor jutro przyjeżdżamy. Jędrzek“.

No nareszcie — wszyscy odetchnęli.

— Jutro tu już będą — Franek z radości na ścieżce tańczył. — Jutro dowiemy się wszystkiego o naszym wykopalisku.

— Tak — Leszek poważnie skinął głową — jutro już będziemy wiedzieć, czy nasze odkrycie jest wartościowe, czy nie. Tymczasem chodźcie prędzej na kolację. Już jest na stole.

Wieczorem trójka poszukiwaczy zebrała się w kątku świetlicy, naradzając się w związku z przyjazdem Jędrka i pana Jeżewskiego.

— Mieszkanie wynajmiemy im na

wsł — zdecydował Leszek. — Ty Teresa zajmiesz się tym!

— Ja ci pomogę! — zaproponował Franek. Znam kilku ze wsi gospodarzy, to może u nich znajdziemy jakąś izbę dla profesora.

— Dobrze, jutro rano pójdziemy na wieś — postanowiła Teresa. — Którym tylko oni przyjadą pociągkiem...

Nagle umilkła i na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

Zdziwieni chłopcy spojrzeli w okno, gdzie padał wzrok dziewczyny. Nic jednak tam nie zauważyli. Na dworze była noc i przez szyby zagłądały ciemne sylwetki drzew.

— Co ci się stało? — pytali zdumieni.

— Tam w oknie... na szybie... — mówiła bezładnie Teresa. — Taka straszna twarz... O Boże!

Zakryła twarz rękami.

— Widziałam wyraźnie okropną twarz i takie długie włosy... Och nie chciałabym drugi raz tego zobaczyć...

W głosie dziewczyny brzmiało wielkie przerażenie.

— Myśmy nic nie widzieli — zauważył Franek.

— Bo to trwało tylko jeden moment... Powiadam wam... straszne... Teresa wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić. Franek nie chciał wierzyć.

— Zdawało ci się chyba... To pewnie liść spadający przykleił się na chwilę do szyby, a tobie zaraz się wydawało...

— A może któryś z chłopców, albo dziewczyn z kolonii zajrzał przez okno — wturcił milczący dotąd Leszek.

— Na pewno — podchwycił Franek.

— Może. — Teresa skłonna była uwierzyć w to całkiem słuszne zresztą przypuszczenie. — Tylko tamta twarz taka okropna...

— Przez szybę tak się zawsze zdaje.

Uspokoił się, ale rozmowa teraz jakoś nie kleiła się im.

Leszek powstał trochę przy nich, a potem szybko wyszedł z pokoju. Obszedł naokoło dom i w pewnym momencie zdawało mu się, że słyszy szelest oddalających się kroków. Stał i słuchał tłumiąc w sobie przyspieszone tętno serca. Tak, na pewno ktoś uciekał! O, wyraźnie teraz doszedł go trzask złamanej gdzieś daleko gałązki. Ale gonić go już było za późno.

(D. c. n.).

Z. Nowicki.



Wszyscy zapewne kochacie kwiaty, żywe barwne kwiaty, zaścielające latem łąki i napełniające ogrody rozkosznym zapachem.

Dzisiaj opowiem wam o pierwszym kwiatku wiosennym — zwiastunie wiosny, przebiśniegu.

Gdy słońce nieco mocniej przygrzewa, w marcu ujrzycie te drobne kwiatki, rozsiane tu i ówdzie na ziemi, niekiedy nawet pośród jeszcze nie stopniałego śniegu. Przebiśnieg to uparciuch nie lada. Lebkciem swoim przebija nawet powłokę śnieżną, byle wyjrzeć na światło dzienne. Skąd ten bohater czerpie tyle siły? — zapytacie.

Odpowiem Wam, iż posiada on swoją własną doskonałą spiżarnię w postaci cebulki pod ziemią. Cebulka ta to źródło istnienia przebiśniegu, ona bowiem wypuszcza zielony pączek. Dziwnym i cudownym zarazem jest życie tego drobnego pączuszka. Rozpoczyna się ono w jesieni. Wówczas pączek powstaje i rośnie. Skoro jednak dochodzi do powierzchni ziemi — przestaje rosnąć — i czeka do wiosny. Ciepło mu pod ziemią i bezpiecznie. Z nastaniem pierwszych dni przedwiośnia — pączek ożywa i znów zaczyna rosnąć. Wówczas to zdolny jest nawet do przebicia śniegu. Pierwsze promienie wiosennego słońca pieszczą jego kwiat, wychylający swą drobną główkę spośród zielonych listeczków. Jeśli znany jest Wam kwiat przebiśniegu, na pewno spostrzeżecie, iż korona jego zawsze opuszczona jest ku dołowi. Zdaje on się ciągle chylić główkę w hołdzie życiodajnemu słońcu. Bo słońce to jego prawdziwy dobroczyńca. Skoro schowa się za chmury i biały, ostatni jeszcze tej zimy śnieg przyprószy, kwiatek więdnie i pochyla się na ziemię. Ale co najdziwniejsze — nie ginie! W dalszym ciągu (jak przez całą zimę) czeka na lepszą pogodę. Zupełnie jak elegantka, która chce się pochwalić swą piękną nową sukienką.

Gdy słończko znów błysnie, prostuje nasz przebiśnieg dumnie swą łodyżkę, unosząc kwiatek zdrowy i cały.

Pracowite pszczoły, które już zaczy-

się, odetchnąć i dlatego po ziemi płynęły naprzemian to chłodne cienie, to gorące plamy słoneczne.

Filipek niósł bochenek świeżego chleba, a całkiem malutki Michaś trzymał drewnianą solniczkę z grubą żółtą solą.

Pankracy wyszedł z chaty i spytał: A to co takiego? Czy mnie chlebem i solą czestujecie? Za jakie zasługi?

— Wcale nie! — krzyknęli chłopcy.
— Dla ciebie będzie osobno. A to dla rannego konia od Filipka. Chcemy ich pogodzić.

— Cóż — powiedział Pankracy — nie tylko człowiekowi należą się przeprosiny. Zaraz wam tu konia wyprowadzę.

Otworzył Pankracy wrota stajni, wypuścił konia. Koń wyszedł, wyciągnął szyję i zarżał — poczuł zapach świeżego chleba. Filipek rozłamał bochenek, posolił chleb z solniczki i podał koniowi. Ale koń chleba nie wziął. Zaczął małymi krokami cofać się zadem do stajni. Złaki się poznawszy Filipka. Zapłakał Filipek głośno wobec wszystkich chłopców.

Chłopcy poszeptali, poszeptali i przycichli. A Pankracy poklepał konia po szyi i powiedział:

— Nie bój się Kary. Filipek nie jest złym człowiekiem. Na cóż go obrażać? Bierz chleb i pogódź się z nim.

Pokiwał koń głową, chwilę namyślał się. Potem ostrożnie wyciągnął szyję i wziął wreszcie chleb miękkimi wargami z rąk Filipka.

Zjadł jeden kęs, obwąchał Filipka i wziął drugi kęs. Filipek uśmiechał się radośnie przez ły, a koń żuł chleb i parsknął. Kiedy już zjadł wszystek chleb, położył głowę Filipkowi na ramię i pogrzebał nogą, syty i zadowolony. Wszyscy uśmiechali się i cieszyli. Tylko stara sroka, siedząc na wierzbie o czymś gniewnie skrzeczała. Pewno znowu chwaliła się, że to tylko przez nią pogodził się Filipek z koniem. Ale nikt jej nie słyszał i nie rozumiał. A to jeszcze więcej rozłościło srokę, więc zaterkotała jak prawdziwy karabin maszynowy.

K Paustowski
tłum. Helena Bobińska



(ciąg dalszy)

— Musiałem go swym nadejściem spłoszyć — myślał chłopiec, — a szkoda, ciekawym kto to był?

Podszedł teraz pod okno świetlicy. Na ładnie zagrabionej rabatce zauważył dwa głębokie ślady nog.

— Bosa musiał być ten ktoś — zauważył przyjrawszy się bliżej śladom.

Więc jednak Teresa miała rację, ktoś zaglądał przez okno. W jakim jednak celu? Dlaczego uciekał, kiedy usłyszał kroki nadchodzącego? — na to Leszek nie umiał odpowiedzieć.

Długie włosy... Przypominał sobie co mówiła im Teresa. Długie włosy... bosa nogi... To przecież z czynnym się mu od razu kojarzyło.

— Rudy Michaś! Rudy Michaś!

— Prawda, on przecież chodzi boso i ma takie długie rude włosy. Rudy Michaś. Leszek czuł, jak znów mu po plecach przechodzą mrówki strachu.

— Czego on tu chciał? Szedł ich widocznie... chciał widocznie zobaczyć, czy jesteśmy we dworze... ale dlaczego?...

Nagle chłopiec, jak oszalały rzucił się w stronę piwnicy. Chciał zobaczyć, czy są w domu, a potem iść i zabrać z altany znalezione przez nich przedmioty!

Mysł ta tak go rozwścieczyła, że pobiegł do piwnicy i zabrał stamtąd długi żelazny drążek i biegiem ruszył nad rzekę.

— Uf! odsapnął na brzegu i rozchylił sitowie. Łódki nie było! Puste miejsce i wygniecione trzciny, to tylko po niej pozostało.

— A więc i to jeszcze wiedział Rudy Michaś! O ich łódce! Przejechał pewnie teraz na drugą stronę do altany, po ich skarby!

Jak oszalały kręcił się po pustym wybrzeżu, nie wiedząc co ze sobą zrobić.

Zawiadomić Franka, Teresę było już za późno... tu każda minuta droga.

Michał może uciec z przedmiotami i co wtedy... nie odda im ich nigdy.

Bez chwili namysłu Leszek rozebrał się i wzięwszy żelazny drążek, bez lęku zanurzył się w zimną toń rzeki. Na środku wartki nurt pochwyił go i starał się zepchnąć w bok, ale chłopiec płynął wytrwale naprzód nie wydając przy tym najmniejszego plusku.

Pływał dobrze i szybko. Jeszcze w mieście razem z innymi chłopcami chodzili nad stawy uczyć się pływać.

W krótkim dość czasie dostał się na drugi brzeg i nie zważając na zimno, pobiegł do altany. Biegł szybko, nie zważając, że gałęzie krzaków boleśnie chłostają jego mokre od kąpielii ciało. Przed altaną zatrzymał się chwilę.

— Trzeba być ostrożnym! Na mnie teraz spoczywa cały ciężar uratowania przedmiotów! — powstrzymał się.

Stąpając leciutko, na palcach podkraadał się do drzwi i nadsłuchiwał. Z wnętrza jednak nie dochodził żaden głos, czy szelest zwiastujący pobyt Rudego Michała. Nie namyślając się długo, choć serce biło mu przyspieszonym rytmem,

gwałtownie otworzył spróchniałe drzwi i wszedł do wnętrza.

Altana była pusta.

Skoczył w sam róg i zaczął rozgrzebywać stertę suchych liści. Pod palcami wyczuł ręką twardość leżących przedmiotów. Odetchnął uspokojony, ale dla większej pewności wyciągnął je na wierzch i przeliczył. Były wszystkie, nic nie zginęło. Ukrył je z powrotem i wyszedł z altany. — Pewnie się omyliłem — myślał, idąc w drogę powrotną. — Tu w altanie nie było Rudego... czy to w ogóle był on — zaczynał powątpiewać w swoje dawne przypuszczenie.

— Hm, ale kogo w takim razie Teresa widziała w oknie? Czyje ślady widniały na rabatce? Kto ukradł łódkę? O niej przecież nikt oprócz ich trójki nie wiedział... Kradzież łódki to niezbity dowód, że ktoś kręcił się po parku.

Wolno przepływał rzekę, na brzegu ubrał się w pozostawione przedtem ubranie, cały czas myśląc o tych dziwnych, tajemniczych wypadkach.

— Dla pewności sprawdź jeszcze siłownia... Może łódka odplynęła gdzieś dalej — postanowił.

d. c. n.

Z. Nowicki

POMÓWIMY O KSIĄŻKACH

Przyjemnie jest marzyć o wędrowce. Szczególnie gdy myśli krąży wokół łądów i mórz dalekich. Wtedy jawia się przed oczyma wszystko co się uprzednio widziało. Obrazy, ilustracje, fragmenty z filmów, reportaże z tygodników, karty poszczególnych ksiązek ozywają.

Oto wędrujemy przez pustynię. Żar jest nie do wytrzymania. W piekielnym upale wielbiad wolno się kołysze i krok za krokiem przemierza nie kończące się płaski.

Chcemy poruszać się szybciej. Musimy lecieć samolotem. Wtedy spod naszych nóg będą uciekały zielone i bure platy łądów. Polecimy nad miasta, gdzie wznoszą się gnachy setki metrów liczące, rozprzestrzeniają się lotniska podobne do olbrzymich boisk piłki nożnej. Wreszcie syci widoków potężnych mostów i zapór wodnych na rzekach zechcemy się przenieść nad rzeki i wody, gdzie widać jeszcze ślady starożytnych miast. Gdzieś w Chinach czy w Indiach. Tu już będziemy oglądać z bliska cuda świata. Świątynie o przedziwnie załamanych dachach, bóstwa z przedziwnymi kształtami głów. Wreszcie pogąrzamy się w pierwotnej puszczy podzwrotnikowej, gdzie w oczach wszystko rośnie, pnąc się do góry, walczą o słońce.

A potem zapragniemy przeskoczyć w kralny podbiegunowe. Panuje tam niczym niezmacona

cisza. Pustyni lodowych ledwo dotknęły stopy człowieka.

A czy nie było by ciekawe opuścić się na dno oceanu i popatrzeć jak żyją potwory głębinowe? Wreszcie może uda się komuś oderwać od ziemi i pozełgować szlakami międzyplanetarnymi? O tam na pewno nie był jeszcze żaden człowiek.

Wszystkim tym, którzy mają zapędy podfóznicze i chcą się wybrać jak najdalej od domu, polecam przeczytanie ksiązki „Świat mikroskopu”. Przedziwna to ksiązka. Pozwala nam ona odkryć świat równie ciekawy, jak ten o którym przed chwilą pisałem. Świat, obok którego przechodzimy wielokrotnie w ciągu dnia. Żyjący w kałuży czy w kropli wody tak samo krążący w sobie mnóstwo tajemnic, zdarzeń i dramatów. Czasem nawet kataklizmów. Uzbrojeni w mikroskop zobaczymy więcej niż z okna lecącego samolotu nad jakimś krajem. „Świat mikroskopu” zawiera nadzwyczaj ciekawe i przyjemnie podane wiadomości o życiu drobnoustrojów, działaniu słońca, budowie roślin. Jest to ksiązka, której przeczytanie rozszerzy sposób patrzenia na otoczenie.

„Świat mikroskopu” St. Skowrona wydała firma wydawnicza St. Kamińskiego. Cena ksiązki — 180 zł.

KSIĄŻKOWY MÓL

ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

(ciąg dalszy)

Mozolnie, grzęznąc co chwila w mule, przeskakał na próżno cały brzeg. Łódki nie było. Ktoś widocznie musiał ją skraść.

— Co teraz robić? — chwilę namyślał się, a potem pobiegł do dworu. — Muszę wszystkich zawiadomić!

We dworze wszyscy już spali i Leszek przeląkł się czy zastanie otwarte okno. W porządku! Jedno z nich było leciutko odchylone, widocznie Franek zauważywszy jego nieobecność nie zamknął okna.

Nie zdążył jednak jeszcze wdrapać się na górę, kiedy okno otworzyło się szeroko i na parapecie ukazał się Franek.

— Co? Co się stało? Dlaczego tak późno wracasz? — dopytywał się szeptem.

Leszek w odpowiedzi tajemniczo potrząsnął głową. — Zejdź na dół, coś ci powiem!

— Ktoś ukradł nam łódkę... — powiedział, kiedy Franek zeskoczył na ziemię.

— Łódkę? — Chłopcu nie chciało się wierzyć.

— Chodź, zobaczysz!

Prześcigając się wzajemnie pobiegli nad rzekę. Leszek odchylił sitowia i Franek wybuchnął nagle śmiechem. Od tego śmiechu, aż trząsał się cały i lzy ściekały mu po policzkach.

Łódka spokojnie spoczywała, ukryta na dawnym miejscu w zaroślach.

Leszek zrobił głupią minę. Czyżbym oślepił? — pytał się zdumiony, przecież byłem tu dwa razy... przeszukiwałem cały brzeg...

— Ha! Ha! Ha! — Franek przewracał się z radości po trawie. Ktoś ukradł łódkę... — Ha! Ha! Nie wytrzymam chyba ze śmiechu, łódkę taką starą, jeszcze do tego dziurawą... Na co by to komu było potrzebne?...

Leszek zawstydzony usiadł na trawie... Podniósł się... wszedł do łódki i wziął do ręki wiosło.

— Co tam znowu szukasz? — śmiał się Franek, śledząc zachowanie się przyjaciela.

— Zobacz, wiosło jest mokre, a przecież dzisiaj nie jeździliśmy wcale... może ty...

— Nie, ja także nie jeździłem.

Leszek opowiedział mu całą dzisiejszą

historię, zwierając się ze swoich podejrzeń.

— Nic nie wiadomo — stwierdził w końcu Franek — w każdym razie łódką dziś ktoś jeździł i to nie my.

To wiemy na pewno!

Rozdział VIII.

— Hm! — profesor Jeżewski oglądał z uwagą leżące przed nim przedmioty z mogiły. — Pochodzą one z okresu brązu — powiedział na końcu.

— A czy one są wartościowe? — dopytywała się Teresa.

— Naturalnie, ale tylko dla nauki, szczególnie, kiedy wojna zniszczyła większą część muzeów takie właśnie okazy mają dużą wartość.

— To one pójdą do muzeów?

— Sam je zawiozę. A teraz chodźmy, muszę jeszcze zrobić fotografię znalezionego przez was grobu.

Wyszli z chałupy, w której na czas przyjazdu do Witowa, wynajęli dla Jędrka i profesora mieszkanie i skierowali się na „Uroczysko“.

— Jaki to jest ten okres brązu? — Jędrrek Koleba był z natury bardzo ciekawy, więc dziwnego, że i teraz nie mógł pozostawić pana Henryka w spokoju.

— To pewien okres czasu, bardzo dawno, kilka tysięcy lat temu, ludzie wtedy nauczyli się wytopić brąz i robić z niego różne przedmioty.

Po drodze przyłączył się do idących Walek, przysłuchując się słowom pana, który zamieszkał w chałupie jego ojca.

— To jest chata Rudego Michała — Franek, kiedy przechodzili koło cmentarza, wskazał Jędrkowi. Chłopiec skinął potakująco głową. Zdążyli już mu opowiedzieć o wszystkich swoich trwogach i przygodach, toteż zupełnie dobrze wiedział, co znaczył dla nich ten samotny grabarz.

Teraz idąc przy profesorze podśmiewali się trochę z dawnego ich strachu. Teraz wszystko wyglądało inaczej, spokojnie. Na podwórku krzątał się Michał, zauważywszy idących wszedł szybko do domu.

(D. c. n.)

Z. Nowicki

Zdarzało się często, iż mieszkańcy wspaniałych miast uczyli się z biednych „hotelowiczów“ i masowo zabijali biedne ptaszki. W takich wypadkach licznie przetrzebione szeregi śpiewaków pędziły dalej do północnej ojczyzny.

W południowej Francji uśmiercano nawet jaskółki, tym razem już nie dla zdobycia ich mięsa, lecz piór. Skrzydełka chyczkich jaskółek zdobyli kapelusze elegantek paryskich. Obecnie na szczęście przestano już poświęcać życie tysięcy małych żeglarzy powietrznych dla dogodzenia wymaganiom mody.

W Ameryce, zwłaszcza północnej, odbywają się dalekie wędrówki ptaków. Le-

cą one olbrzymimi chmarami. Okoliczne pola padają ich pastwą podczas tych przelotów. Mieszkańcy tych terenów bardzo niegościnnie przyjmują szkodników. Np. dzięki gołębie, które lecą tylko w dzień, a w nocy śpią na drzewach — zostają masowo zabijane podczas noclegów.

Przyznacie to sami, że ojczyzna to bardzo silny magnes dla drobnych wędrowców ptasich, którzy bez jakichkolwiek przyrządów pewnie i nieomylnie sterują w rodzinne strony. Powitajmy ich serdecznie i pozwólmy spędzić w wygodzie i bezpieczeństwie miesiące wiosny i lata w naszym kraju.

L. Zak



— Ukrył się przed nami — myślał Leszek. — Musi być bardzo zły, że myśmy odnaleźli grób na uroczysku. No, ale musiał mieć zdumioną minę, kiedy zauważył, co zrobiliśmy na uroczysku... i że przedmioty wyciągnęliśmy z mogiły. — Uśmiechnął się na samą myśl o tym.

— Tak, to jest grób szkieletowy!

Profesor zrobił zdjęcie otwartej mogiły. — Takich grobów jak ten, zawierających szczątki dawnych wojowników, jest bardzo dużo rozsianych po całej Polsce. Większa jednak z nich część nie dostaje się we właściwe ręce. Ludzie nie znają się na tym i mogiły takie po odkryciu zamiast być zachowywane, ulegają przeważnie zniszczeniu. Dlatego dziękuję wam bardzo, że swoim odkryciem wzbogaciliście nasze polskie muzea.

— To jest grób szkieletowy — objaśniał dalej profesor — są jeszcze inne, w których zamiast szkieletu zmarłego, znajdują się urny z jego spalonymi szczątkami. Te gliniane naczynia znalezione przez was w grobie, to są garnki z jedzeniem, postawione przy umarłym. Dawniej bowiem wierzono, że dusza człowieka po śmierci także musi się odżywiać.

— Ach tak! Przypominam sobie! — zawołała nagle Teresa — czytałam przecież w „Starej Baśni“ jak dawniej w dzień poświęcony zmarłym, ludzie szli na cmentarze z jedzeniem dla zmarłych.

— Zupełnie słusznie, takie były zwyczaje dawnych Słowian — potwierdził profesor.

Nagle krzaki zarastające polankę rozchyliły się i wyjrzała z nich twarz Rudego Michała, a później i on sam wyszedł. Podpierając się sękatym kijem podszedł do chłopców i grubym chropowatym głosem zapytał:

— Kto wam pozwolił tu kopać! Co?

Chłopcy znieszali się. Nikt im przecież nie pozwolił tu kopać. Sami to zrobili bez niczyjej wiedzy.

— ...To „uroczysko“ do nikogo nie należy, nikogo więc nie potrzebowaliśmy się pytać... — niezręcznie tłumaczył Leszek.

Michał w odpowiedzi gniewnie stuknął o ziemię łaską.

— ... Mnie, mnie... Ja tu tego pilnowałem!

Wskazał końcem łaski rozkopaną mogiłę.

— Kto wam pozwolił... — tu były skarby, wyście je wzięli...

— Tu nie było żadnych skarbów — wtrącił się pan Henryk. — Proszę, to są przedmioty, które znaleźliśmy w mogiłe — pokazał Michałowi gliniane naczynia i wyroby z brązu. — Te rzeczy mogą mieć wartość tylko dla nauki! Zresztą „uroczysko“ jest niczyje, każdy ma prawo prowadzić tu poszukiwania.

Michał potrząsnął głową.

— Kiedy, jeszcze przed wojną, jeden profesor z Warszawy jak tu był we dworze, kazał mi tego pilnować. Mówił, że tu są cenne skarby i on przyjedzie tu i odkopie je. Zapłacił mi nawet za pilnowanie, ale później była wojna i do tego czasu jeszcze go nie było... Co to zresztą za skarby... z gliny jakieś garnki i żelastwo — skrzywił się pogardliwie.

— Ja też jestem profesorem — powiedział mu pan Henryk. — Te przedmioty są wartościowe, ale tylko dla nauki. Dla was one nic nie znaczą i nikt od was by tego nie kupił.

— I ja tego tak pilnowałem... nikomu nie dałem się tu kręcić. — Rudy Michał z zalem trząst głową. Był bardzo rozczarowany.

— Nie martwcie się, za pilnowanie na pewno dostaniecie jakąś nagrodę, już ja się o to postaram.

Pan Henryk zrobił jeszcze jedną fotografię i cała gromadka wraz z Rudym Michałem ruszyła w stronę wsi.

— Niedługo kończą się już kolonie, wrócimy z powrotem do miasta, do szkoły westchnął Franek.

— Będziemy mieli co opowiadać. — Teresa myślała już o zdziwieniu i zaz-

drości koleżanek, kiedy opowie im o wakacyjnych przygodach.

— Jak będziecie odjeżdżać — wtrącił się nagle milczący dotąd Walek — to zostawcie mi tę łódkę. Dziurawa, bo dziurawa, ale można jeszcze jeździć.

— Dobrze! Bardzo chętnie — zgodzili się chłopcy, którym w mieście łódka nie była do niczego potrzebna.

Leszek odciągnął na chwilę na bok Waleka i ostro zapytał:

— To ty wczoraj w nocy jeździłeś naszą łódką? Mów prawdę!

Walek zmieszał się i zawstydzony wyszeptał:

— Tak, ja. Jechali ze wsi wczoraj łowić ryby. Ja też chciałem z nimi, ale nie miałem łódki...

— No i co? — dopytywał się Leszek.

— ...Poszedłem do dworu, do was. Byliście już w środku w tym dużym pokoju, chciałem się was zapytać, ale wstydziłem się wchodzić do środka. Myślałem, że wam wczoraj łódka nie była potrzebna... i zabrałem — Ale jej przecie nie zepsuł i odstawiłem na miejsce.

— No nic... na drugi raz bez pytania nie bierz łódki — powiedział Leszek.

(Dok. nastąpi)

Z. Nowicki

REKAWKA

Do ostatnich, t. zn. przedwojennych czasów, w trzeci dzień świąt od wczesnego rana liczne rzesze krakowian ciągną na drugą stronę Wisły, na t. zwane Krzemionki, do mogiły Krakusa by z wierzchołka wzgórza zwanego Lasotą zrzucić tłumowi biedaków i dzieci zgromadzonym na dole przysmak w postaci pierników, orzechów i jabłek.

Zabawa ta, nie mając pozornie żadnego sensu, wywodzi się z zamierzchłych bo jeszcze przedchrześcijańskich czasów. Jest ona pamiątką starożytnej stypy pogrzebowej, czyli ugoszczenia ludu, zebranego dla usypiania mogiły Krakusowi. Sypano ją rękoma, noszono ziemię w rękawach — i oto już macie tajemnicę dziwacznej nazwy „rękawka“.

A teraz — dlaczego to na wiosnę świąci Kraków uroczystość odpowiadająca właściwie Zaduszkom? Przypomnijmy sobie, że za czasów pogańskich Słowianie

obchodzili Zaduszki na wiosnę, wynosząc na mogiły pokarmy ku czci zmarłych.

Po przyjęciu chrześcijaństwa wiosenne stypy mogilne przeniesione zostały na dzień Zaduszny w jesieni.

Jedynie Kraków widocznie przez szczególną cześć dla swego założyciela zachował dawny termin pogański, łącząc go z chrześcijaństwem przez rozdawanie ubogim święconego u mogiły Krakusa. Ze znacznie późniejszych czasów zachowała się piosenka, opiewająca tę narodową zabawę:

Zielona trawa, zielona,
a stara Wisła spieniona.
Hen, na Podgórzu Rękawka
i wielka nocna zabawka.

A na Rękawkę się sypie
naród z Krakowa po moście.
Ciesz się, narodzie, na stypie
bywa Wielkanoc po poście.

Zielona trawka, zielona,
słońce przygrzewa z zachodu.
Na kopcu pełno narodu
a stara Wisła spieniona.

Zofia Lorentz



(Dokończenie)

On jeden wiedział tylko ile przez Wal-ka użył strachu i jakie miał podejrzenia na niewinnego Michała.

Był ciepły letni wieczór. Jeden z tych ostatnich letnich wieczorów, po których nastąpią inne, pełne szarugi jesiennej.

Nad budynkami farbiarni z wysokiego kominą snuł się leniwie w spokojnym powietrzu czarny dym. Płynął powoli, najpierw nisko nad ziemią, potem unosił się w górę i ginął pod ożłoconym promieniami błękitem nieba.

Profesor Jeżewski w otoczeniu małej gromadki, Teresy, Franka, Jędrka i Leszka, szedł pograżony w rozmowie na spacer za miasto. Był to już ostatni ich spacer, jutro kończyły się wakacje, zaczynało się nowe szkolne życie i związane z nim nowe radości i troski. Jędrak odbiegł od idących, stanął nad brzegiem małego strumienia i krzyknął:

— Patrzcie! Woda dziś jest niebieska!

Wszystkim od razu zrobiło się dziwnie radośnie. Sami nie wiedzieli dlaczego kilka tych słów potrafiło wywołać w ich myśli szereg cudnych wspomnień.

To jest przecież ich „kolorowa rzeka”... tu, jeszcze — zdawało im się — niedawno, założyli swój związek. Tu, w tym miejscu powstały ich marzenia o skarbach, tu był początek ich przyjaźni i wspólnie przeżytych przygód. Znaleźcie kotka, kolonie, nocne ucieczki przez okno, nocna wyprawa na uroczysko... — wszystko to teraz przesuwało się zupełnie wyraziście przed ich oczami. A potem przyjazd Jędrka i profesora. No i Michał, Rudy Michał, samotny grabarz z cmentarza. Dziwnie, na prawdę dziwnie zakończyła się ta ich przygoda. Ten zacięty wróg, przeszkoda, którą musieli wciąż zwalczać okazała się tylko sumiennym starcem, któremu kazano pilnować ukrytego „skarbu”.

A skarb? Ich wymarzony skarb także okazał się w innej niespodziewanej formie...

— Tu założyliśmy nasz związek — Jędrak wskazał małą łączkę, wcisniętą między wysoki parkan fabryczny i budynki

farbiarni. Mówił im o tym, przypominał chociaż wszyscy dobrze wiedzieli, a jednak teraz z takim zainteresowaniem spoglądali na to pamiętne miejsce.

...stąd wyruszyliśmy na poszukiwanie skarbu... i właściwie nie znaleźliśmy go, — powiedział cicho jakby tylko do siebie Leszek, ale wszyscy wyraźnie usłyszeli jego słowa.

— Tak, nie znaleźliście go — pan Henryk skinął głową — ale znaleźliście coś innego: przyjaźń. I jeszcze — dokonaliście ciekawego odkrycia.

— Idźcie do szkoły — mówił dalej — będziecie znów się uczyć... może, z was który zostanie, tak jak ja archeologiem, inny doktorem, adwokatem. Musicie jednak wiedzieć, że zdobyć wiedzę i moc dzielić się z nią z innymi to jest największy skarb i szczęście, które człowiek może posiadać.

Wszyscy milczeli, zasłuchani w prawdziwą treść tych jego słów. Milczeli, bo wiem czuli w tej chwili, że zdolni są sięgnąć po ten wielki skarb, odkryć go... dla innych ludzi.

Nadchodził zmierzch, po nim przyjdzie znów noc, a w końcu czekał ich srebrny szczęśliwy świt.

Cicho szemrała woda w śmierzącym strumieniu. Zachodzące słońce łamało w nim swoje promienie przelewające się w wodzie, jak szczerze płynne złoto.

Z. Nowicki

Koniec

Kącik humoru

Wujek (huśtając małego siostrzeńca na kolanie): Prawda Olesiu, że to przyjemnie tak jechać konno?

Oleś: Tak, wujciu, ale jak byłem w ogrodzie zoologicznym i jechałem na prawdziwym osie, to było o wiele przyjemniej.

Na lekcji religii

Ksiądz prefekt pyta Jasia: Co było po potopie?

Jaś (namyśla się chwilę): Błoto, proszę księdza. Nadesłał „Kujawiak”

W POGONI za medalionem



Zmęczeni wierzka, rozbitkowie na-
potkali wypoczywającą karawane.



Karawana pomo-
gła rozbitkom wy-
dostać się z pustyni.



Po drodze mijali
starożytne świątynie
z noszaczami kamionów.



Kasia: Do drewnego
miasta trafiliśmy
tym razem!...

Florek: To Aleksandria. Kapitan zatawi tu sprawę dalszej podróży...



Florek:

— Dowiedzenia Kapitanie!
Dziękujemy za pomoc! Żeg-
naj Dan! Napiszemy z Anglii
List...
Kapitan: Gdybyście przez
pomyłkę nie wsiadli na nasz
statek, dawno już byłibyście
w Londynie.
Uniknęlibyście wszystkich
tych przygód... Dowiedzenia!